

Jubileuszowe refleksje



Fot. Stanisław Ociepka

Odnowienie więzi
z Matką Bożą Bolesną
- rozmowa
z ks. Wiesławem Piotrowskim

Powstało z wiary,
z myśli i serca

Z Andruszem po Limanowej

W hołdzie
Jolancie Kłosowskiej

O limanowskich kinach

Co nam zostało z tych lat

Historia
dłutem i rylcem pisana

Demawend
w kraju dobrych zmian cz. 1

Legenda „Pasażerki”

Partyzanckie Święta

Z Krakowa do Limanowej
- wspomnienia z Wielkiej Wojny



Odnowione prezbiterium bazyliki limanowskiej



Odnowienie więzi z Matką Bożą Bolesną

Jubileusz 50-lecia koronacji Piety limanowskiej był świętem wszystkich wiernych czcicieli Matki Bożej Bolesnej. Wydarzenie to było nie tylko okazją do wyrażenia podziękowania za akt koronacji, jakiego dokonał pół wieku temu arcybiskup Karol Wojtyła, ówczesny Metropolita Krakowski, dziś Święty Jan Paweł II. Przede wszystkim była to sposobność na odnowienie więzi z Matką Bożą Bolesną. O przebiegu tych uroczystości rozmawiam z kustoszem bazyliki w Limanowej ks. dr. Wiesławem Piotrowskim.



Procesja eucharystyczna podążająca do polowego ołtarza, gdzie odbyła się jubileuszowa Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem kardynała Stanisława Dziwisza w asyście bp. tarnowskiego ks. Andrzeja Jeża, ks. bp. Kazimierza Górniego i ks. bp. Edwarda Białogłowskiego z diecezji rzeszowskiej oraz ks. bp. Władysława Bobowskiego i ks. bp. Stanisława Salaterskiego z Tarnowa, ojca Dominika Chucher Opatą ze Szczyrzyca, a także ks. prałata Józefa Poręby - proboszcza seniora i ks. prałata Wiesława Piotrowskiego - obecnego proboszcza parafii limanowskiej.

– W ostatnich miesiącach poprzedzających uroczystości jubileuszowe prowadzone były prace restauracyjne w prezbiterium Bazyliki. Jaki był zakres tych prac?

– Do Jubileuszu 50. rocznicy koronacji Cudownej Figury Matki Bożej Bolesnej w naszej parafii przygotowaliśmy się już od kilku lat. W ramach tych przygotowań zwróciliśmy przede wszystkim uwagę na kwestie duchowe, ale nie mogliśmy pominąć spraw materialnych, gdyż są one wyrazem naszego szacunku, a także miłości do Matki Najświętszej. Prace we wnętrzu świątyni zostały rozpoczęte wiosną tego roku. Odnowione zostały dwa zabytkowe konfesjonały w północnej nawie kościoła. Zasadniczą część prac renowacyjnych skoncentrowana była na prezbiterium. Polegała ona na renowacji malowideł sklepiennych, ołtarza głównego wraz z figurami Maryi i Świętego Jana, belki krzyżowej oraz sedilli. Pomalowane zostały także ściany boczne prezbiterium, wykonane zostały nowe tablice wotywnie, na których umieszczono odnowione i nowe wota, oraz ambonka, a także ołtarz „soborowy”. W trakcie prac odkryta została pierwotna warstwa malowideł sklepiennych, którą poddano renowacji. Najbardziej zniszczone fragmenty zostały odtworzone. W ten sposób odnowiona została polichromia wykonana przez Adama Miksza w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Również przy odnawianiu Piety konserwatorzy dzieł sztuki dostrzegli, że dotychczasowa, widoczna warstwa malarska jest wtórna. Na podstawie badań przeprowadzonych przez rzeczoznawców powołanych przez Małopolskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków została podjęta decyzja, aby nie poprzestawać na renowacji zachowawczej, lecz przywrócić pierwotną, gotycką warstwę malarską Cudownej Figury. Po wykonaniu zaplanowanej renowacji, przewidziane, dodatkowe prace będą kontynuowane w późniejszym terminie.

Przeprowadzone prace byłyby niemożliwe do zrealizowania bez zaangażowania osób z naszej parafii, a także limanowskich Rodaków mieszkających ►



Msza św. pontyfikalna - 18 września 2016 rok.

► obecnie poza naszym miastem i innych osób oraz instytucji. Wszystkim, za ich ofiarność oraz wszelką pomoc, składam serdeczne podziękowanie. W sposób szczególny dziękuję osobom chorym, które ofiarowały swoje cierpienia i modlitwy w intencjach prowadzonych prac w naszej Bazylice.

– *Jaki materialny i duchowy wymiar w życiu Sanktuarium pozostawiły uroczystości jubileuszu 50-lecia koronacji Figury Matki Bożej Bolesnej i towarzyszące jej uroczystości wydarzenia?*

– Z okazji rocznicy koronacji został przeprowadzony wśród dzieci i młodzieży, a także dorosłych konkurs plastyczno-literacko-muzyczny: „Matka Boska Limanowska w moim życiu.” Powstało bardzo wiele prac plastycznych oraz utworów literackich, a także muzycznych. Grand prix jury konkursu przyznało Sebastianowi Szymańskiemu za intradę na odsłonięcie i zasłonięcie Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej. Utwór ten, nagrany przez Orkiestrę Reprezentacyjną Straży Granicznej oraz nauczycieli i uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Nowym Sączu, jest codziennie odtwarzany w Bazylice. Wyniki konkursu zostały ogłoszone 10 września br. podczas sympozjum Maryjnego: „Mater Dolorosa – dzieje kultu i inspiracje dla

pobożności chrześcijańskiej”, zorganizowanego z okazji Jubileuszu koronacji. Zostały wówczas wygłoszone cztery referaty na temat: „Dzieje kultu Matki Boskiej Bolesnej w Kościele”, „Historia kultu Piety Limanowskiej”, „Wartości emocjonalne ukryte w Piecie” oraz „Mater Dolorosa inspiracją dla współczesnej pobożności Maryjnej”. Treść tych referatów będzie opublikowana. Z okazji Złotego Jubileuszu, działający przy naszym Sanktuarium chór Canticum Iubilaeum wydał płytę: „Pani nasza Limanowska”, która była zaprezentowana podczas koncertu 11 września w Bazylice, a 16 września wykonane zostało oratorium ku czci Matki Boskiej Bolesnej pt. „Droga do Ciebie”. Tekst oratorium został napisany przez Zbigniewa Wrone. Muzykę skomponował Sławomir Szymocha, który również dyrygował połączonymi limanowskimi chórami i orkiestrą. Oratorium zostało uwiecznione na płycie DVD oraz nagrane przez TV Kraków. Z okazji 50. rocznicy koronacji Piety nasze Sanktuarium przygotowało także publikacje: „Koronacja Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej”, „Pani nasza Limanowska”, modlitewnik Maryjny „Matka Boska Bolesna, Pani Limanowska”, okolicznościowy numer kwartalnika „Mater Dolorosa”, a także foldery, kartki pocztowe, zakładki, obrazki i „składanki” ze

zdjęciami z koronacji oraz współczesnymi. Został odlany w brązie medal okolicznościowy, przygotowana została wystawa, złożone zostały nowe wota, w tym złota róża, ufundowana przez wiernych parafii oraz czcicieli Matki Boskiej Bolesnej z różnych miejscowości. Zaplanowane jest także w wersji książkowej wydanie wszystkich homilii wygłoszonych 11 września oraz podczas odpustu od 15 do 22 września. Niebawem ukaże się album ze zdjęciami „z życia” naszego Sanktuarium.

Obchodzony Jubileusz stał się dodatkową okazją do pielgrzymowania do Limanowej większej niż dotychczas liczby wiernych. Wielotysięczna rzesza czcicieli Matki Bożej zgromadziła się podczas centralnej uroczystości 18 września br. Przewodniczył jej następca Koronatora Limanowskiej Piety, Metropolita Krakowski Kardynał Stanisław Dziwisz. Obecni byli także Biskup Tarnowski Andrzej Jeż, Biskupi Kazimierz Górny i Edward Białogłowski z diecezji rzeszowskiej oraz Biskupi Władysław Bobowski i Stanisław Salaterski z Tarnowa, a także Ojciec Dominik Chucher, Opat ze Szczyrzyca, Księża Infulaci z Rzeszowa i Tarnowa, Księża Prałaci, Profesorzy, Kanonicy Gremialni Kapituł oraz ponad stu kapłanów. W poszczególnych dniach jubileuszowych obchodów Msze Święte



Centralna Uroczystość Odpustowa była połączona z diecezjalnymi obchodami 1050. rocznicy Chrztu Polski oraz tradycyjnym dziękczynieniem za tegoroczne plony.



Aplauz po wykonaniu Oratorium ku czci Matki Boskiej Bolesnej, Limanowskiej Pani pt. „Droga do Ciebie”.
Fot. Jakub Trojanowski

i homilie wygłosili: Arcybiskup Henryk Nowacki, Arcybiskup Waław Depo, Arcybiskup Wiktor Skworc, Arcybiskup Stanisław Budzik, Biskup Andrzej Jeż, Biskup Stanisław Salaterski, Biskup Wiesław Lechowicz, Generał Ojców Paulinów Arnold Chrapkowski, a także zaproszeni kapłani pochodzący z diecezji tarnowskiej. Wygłoszone podczas Eucharystii homilie, odprawiane nabożeństwa oraz prywatne modlitwy przyczyniły się do duchowych przeżyć, o których każdy mógłby wiele napisać lub powiedzieć. Są to indywidualne doświadczenia duchowe, które każdy zachowuje w swoim sercu i które wpływają na dalsze życie człowieka. Na podstawie rozmów z pielgrzymami przybyłymi do naszego Sanktuarium, jak i z osobami z naszej Parafii mogę stwierdzić, że tegoroczne przeżycia były dla wielu wyjątkowe i niezwykle ubogacające. Podkreślali oni, że są to niezapomniane chwile, które pogłębiają więź z Panem Bogiem i Matką Najświętszą. Spotkałem też osoby, które z racji Złotego Jubileuszu po raz pierwszy przybyły do Limanowej i zostały zauroczone przez Limanowską Panią. Spotkanie z Maryją w naszym Sanktuarium stało się dla wielu wiernych okazją do skorzystania z sakramentu pokuty. Słyszałem także o osobach, które z racji Jubileuszu koronacji postanowiły przebaczyć swoim bliskim i po wielu latach pojednać się z nimi. Odebrałem wiele telefonów i otrzymałem wiele listów od osób, które słuchały w radiu RDN Małopolska i RDN Nowy Sącz oraz oglądały transmisje jubileuszowych uroczystości w telewizji Trwam i poprzez internet. Osoby te proszą o przesłanie obrazków Cudownej Figury oraz pamiątek z naszego Sanktuarium. Zapowiedziały też przyjazd do Limanowej.

– *Księżo Pralacie, co powinno pozostać w sercach parafian po obchodach Złotego Jubileuszu koronacji Cudownej Statuy?*

– W życiu chrześcijanina najważniejsza jest miłość. Przypomina nam o tym przykazanie miłości Boga i bliźniego. Jestem przekonany, że obchodzony w tym roku Jubileusz winien więc przede wszystkim umocnić naszą miłość do Pana Boga oraz Matki Najświętszej, a także pobudzić nasze serca do większej miłości względem drugiego człowieka. Bliskość z Panem Bogiem wyrażająca się życiem w łasce uświęcającej oraz z Maryją, która prowadzi nas do swojego Syna, bez wątpienia przyczynią się do tego, że nasze relacje z bliźnimi będą coraz lepsze, a nasze codzienne życie będzie przepełnione duchem ewangelicznych wartości. Dzięki temu będziemy mogli dawać chrześcijańskie świadectwo i wypełniać testament Maryi, która powiedziała: „Uczyńcie wszystko cokolwiek powie mój Syn” (J 2,5).

Rozmawiał: Stanisław Ociepka



Jubileuszowe refleksje

Jubileusz to czas wspomnień i przeżywania w nowy sposób wydarzeń zarówno przez te osoby, które uczestniczyły w uroczystościach 50 lat temu, jak i tych wszystkich, którzy pragną zgłębić wiedzę i poznać wartości wynikające z koronacji Piety limanowskiej przed pół wieku.

Redakcja „Echa Limanowskiego” poprosiła osoby zarówno leciwe jak i młode, aby na łamach dwumiesięcznika, podzieliły się refleksjami z uroczystości jubileuszowych, a także z wydarzeń im towarzyszących.

Zwróciliśmy się także do ks. dr. Wiesława Piotrowskiego, proboszcza limanowskiego, aby wskazał, co powinno pozostać w nas, parafianach, po obchodach złotego jubileuszu koronacji Cudownej Statuy Matki Bożej Bolesnej.

Antoni Mamak

Bądź Pozdrowiona

Wielkie wydarzenia, których byliśmy świadkami pół wieku temu na nowo wróciły w dniu złotego jubileuszu i przypomniały nam nieco już zatarte przeżycia. Nie jest łatwo ocenić i powiązać przeszłość z teraźniejszością. Pięćdziesiąt lat to mnóstwo czasu w naszym życiu, zaś niewiele w dziejach parafii.

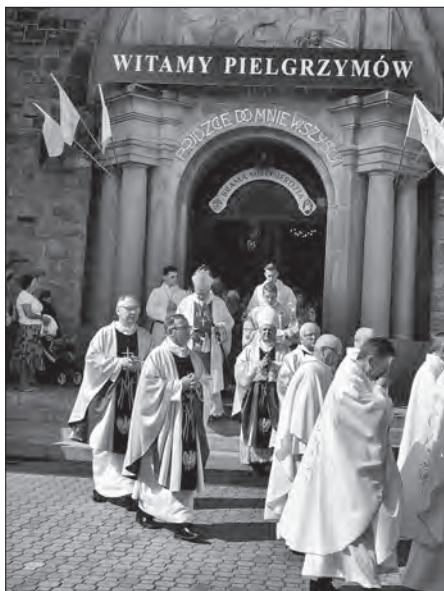
Jeżeli wrócimy myślami do 1966 roku, kiedy nasz naród uroczyście obchodził 1000-lecie Chrztu Polski, a jego zwieńczeniem dla naszej parafii była koronacja Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej, to zapewne dziś wielu z nas na nowo przeżywa to, czego wówczas doświadczyliśmy. Wydarzenia te zakotwiczyły się na zawsze w pamięci, gdyż były one najpiękniejszym i niepowtarzalnym doznaniem duchowym. Chociaż w naszym życiu sytuacje się powtarzają, to pierwsze przeżycia najbardziej pozostają w naszej świadomości.

Mam żywo w pamięci ten nieogrodzony plac, zwany koronacyjnym, wzdłuż drogi przy Potoku Starowiejskim, którego heroicznie bronił ks. prałat Ludwik Kowalski przed zakusami odebrania go parafii pod drogę. Mam także w pamięci

intensywne prace przy zagospodarowaniu tego terenu, które wykonane zostały staraniem ks. prałata Józefa Poręby, przy wsparciu ks. Mariana Tyrki i wielu ofiarodawców. To wówczas został wybudowany ołtarz, przy którym 11 września 2016 r. była sprawowana jubileuszowa dziękczynna Msza św. pod przewodnictwem ks. arcybiskupa Henryka Nowackiego, nuncjusza apostolskiego w krajach nordyckich.

Jestem wdzięczny Bogu za to, że w moim życiu dane mi było przeżywać wszystkie główne uroczystości związane z naszą Panią limanowską. Zarówno tą pamiętną uroczystość z 11 września 1966 roku, kiedy w przepiękny pogodny dzień rozśpiewane tłumy pielgrzymów podążały ze wszystkich stron do limanowskiego kościoła, aby uczestniczyć w tym uroczystym i radosnym wydarzeniu. Wówczas w naszym mieście zajęte były wszystkie ulice, plac koronacyjny i każde dostępne miejsce nad Potokiem Starowiejskim i na wzniesieniach „Siwego Brzegu”. Właśnie tam z tego oddalonego miejsca, które zająłem z całą rodziną, śledziłem to historyczne wydarzenie. Chłonałem każdy szczegół Eucharystii, a zwłaszcza chwilę, kiedy ks. arcybiskup Karol Wojtyła, metropolita krakowski, zakładał złotą koronę na skronie Cudownej Figury, naszej Pani limanowskiej.





Uroczystości jubileuszowe - 11 września 2016 rok.

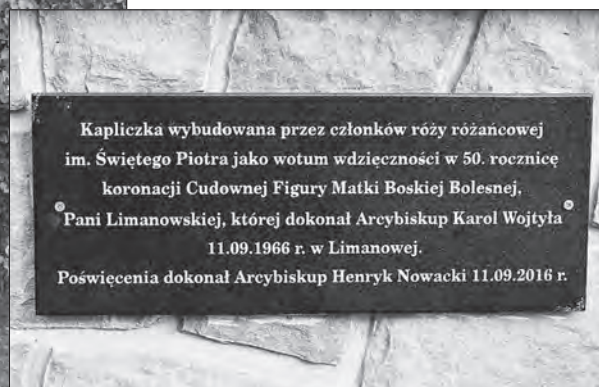


Od pamiętnego dnia minęło niespełna 15 lat. W maju 1981 r. miała miejsce kradzież korony. Smutek i żal ogarnęła naszą parafię. Czasy to były trudne i niespokojne. Stan wojenny utrudniał nawet swobodne przemieszczanie się na inne tereny. A jednak podjęto decyzję ponownej koronacji. Należało zgromadzić odpowiednie środki, uzyskać zezwolenie od władz niechętnych tego rodzaju poczynaniom. Zadania podjął się ks. prałat Józef Poręba, ówczesny proboszcz, przy wielkim wsparciu ks. biskupa Piotra Bednarczyka, rodaka limanowskiego, wielkiego czciciela Matki Boskiej Bolesnej.

Nie spełniły się nadzieje związane z pragnieniem obecności Ojca św. Pawła VI i jego przyjazdem do naszego kraju, na obchody 1000-lecia Chrztu Polski i ewentualną koronację Cudownej limanowskiej Statuy. Dopiero po 17 latach, 22 czerwca 1983 roku podczas drugiej pielgrzymki do Ojczyzny w królewskim mieście Krakowie, On, ten sam, który po raz pierwszy 11 września 1966 roku w Limanowej, jako arcybiskup krakowski tym razem już jako papież Jan Paweł II, ponownie włożył złote korony na skronie Matki Boskiej Bolesnej i Jej Syna. W akcie tym wsparł Ojca św. ks. prałat Józef Poręba.

Dane mi było również uczestniczyć w tym akcie. Nie zapomnę nigdy wzruszenia z tym związanego. Wmieszany w milionowy tłum pielgrzymów, z tysiącami biało-czerwonych sztandarów, z dala chłonałem każdy szczegół. A potem ten tryumfalny pochód ulicami Krakowa i tłumy pozdrawiających nas z okien i balkonów mieszkańców Krakowa. Po paru dniach Pieta wróciła przez Mordarkę, gdzie przed wiekami znalazła schronienie na Lipie, a później w Kaplicy, aby dzielić z nami swoje losy na dobre i na złe w czasach wojen, epidemii, pożarów. Witała i żegnała swoje wierne dzieci, wspierała i pocieszała, dlatego ją kochamy. Ozdobiona złotymi koronami, prowadzona w uroczystej procesji, jak królowa powróciła na swój tron do limanowskiego kościoła, dziś bazyliki.

Obecnie ponownie mogłem uczestniczyć w uroczystych obchodach pięćdziesięciolecia koronacji, które zbiegły się



Kapliczka, wotum Jubileuszu 50-lecia koronacji limanowskiej Pietety, znajduje się u zbiegu ulic: ks. Jana Rachwała i Źródlanej.



Biskup tarnowski Andrzej Jeż, klęcząc przed figurą Matki Boskiej Bolesnej odczytuje akt zawierzenia diecezji.

z dwoma wielkimi wydarzeniami: 1050 rocznicą Chrztu Polski oraz Światowymi Dniami Młodzieży w Krakowie.

Od pewnego czasu nasza parafia przygotowywała się do tego ważnego wydarzenia. Staraniem kustosa ks. Wiesława Piotrowskiego od przeszło trzech lat prowadzone były prace związane z odrestaurowaniem bazyliki. W ostatnim czasie dokonano odnowienia prezbiterium głównego ołtarza, które uzyskało nową wspaniałą szatę.

Szczęśliwy jestem, iż dane mi było także uczestniczyć 11 września 2016 r. w uroczystościach jubileuszowych. W skupieniu przeżywałem Eucharystię, podczas której w myślach wracały mi obrazy sprzed pięćdziesięciu laty.

Popadłem w zadumę, stawiając sam sobie pytanie. Dlaczego niezbyt wiele

osób uczestniczy w tak ważnej uroczystości, szczególnie dzieci i młodzieży?

Pomimo świadomości, że jubileusz to uroczystość nie tej samej doniosłości jak uroczystość koronacji, to jednak poczułem niedosyt, czegoś mi brakowało.

W innej atmosferze mogłem już przeżywać uroczystości jubileuszowe w ramach odpustu parafialnego 18 września 2016 r. Mszy św. pontyfikalnej przewodniczył ks. kardynał Stanisław Dziwisz, metropolita krakowski w obecności ks. bp. Andrzeja Jeża, ordynariusza tarnowskiego wraz z kilkoma biskupami, opatem szczyrzyckim oraz proboszczów limanowskich: seniora ks. Józefa Poręby i ks. Wiesława Piotrowskiego w towarzystwie kilkudziesięciu kapłanów.

Głęboko przeżyłem jubileuszowy akt oddania diecezji tarnowskiej pod opiekę

Matki Bożej Bolesnej w Limanowej odczytany przez biskupa tarnowskiego Andrzeja Jeża, limanowskiego rodaka, który m.in. powiedział: „*Matko Boża Bolesna, Limanowska Pani! Klęcząc dzisiaj przed Twoją ukoronowaną przed 50. laty Figurą, pragniemy ponowić nasze całkowite oddanie i zawierzenie Twojej macierzyńskiej opiece (...).*”

Stanisław Ociepka

Pięćdziesiąt lat później

Uroczystości Jubileuszowe związane z 50. rocznicą koronacji Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej rozpoczęły się 11 września 2016 r. Mszą św. dziękczynną odprawioną pod przewodnictwem arcybiskupa Henryka Nowackiego, nuncjusza apostolskiego w krajach nordyckich. Główne uroczystości trwały od 15 do 22 września, miały więc nieco inny charakter niż 50 lat temu.

Kulminacyjną częścią tych obchodów była Msza św. pontyfikalna odprawiona 18 września 2016 r. pod przewodnictwem metropolity krakowskiego kardynała Stanisława Dziwisza, w obecności kilku biskupów oraz kilkudziesięciu kapłanów z okolicznych parafii.

Na placu koronacyjnym obok bazyliki tłumnie zgromadzili się wierni z parafii limanowskiej, a także pielgrzymi przybyli na tę jubileuszową uroczystość z całej Ziemi Limanowskiej.



Ks. bp Andrzej Jeż wita przybyłych na Złoty Jubileusz koronacji Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.



Kardynał Stanisław Dziwisz, metropolita krakowski przed ołtarzem polowym.

Witając ks. kardynała Stanisława Dziwisza, ordynariusz tarnowski ks. bp Andrzej Jeż powiedział: *Podobnie jak przed pięćdziesięciu laty, gromadzimy się jako wspólnota tarnowskiego Kościoła w jubileuszowym roku Chrztu Polski, by podziękować trójjedynemu Bogu za dar Bogurodzicy, czczonej w limanowskim sanktuarium w Cudownej Statule Matki Boskiej Bolesnej. Dzieje tej ziemi i jej mieszkańców na trwałe związały się z Maryją, która w tajemnicy swoich boleści pomaga swym duchowym dzieciom przechodzić zwycięsko przez doliny osobistych i dziejowych ciemności. W oczach Matki Bolesnej utkwionych w martwym ciele Syna nie ma śladu rozpacz, lecz głębokie zawierzenie Bogu, który ma moc zamienić smutek w radość, nieszczęście w błogostawieństwo.*

Naszej dziękczynnej modlitwie przewodniczy metropolita krakowski kardynał Stanisław Dziwisz. W osobie ks. kardynała Stanisława, następcy na stolicy arcybiskupów krakowskich Karola Wojtyły, dostrzegamy wymowną historyczną ciągłość.

Przed 50 laty arcybiskup Karol Wojtyła dokonał uroczystego aktu koronacji Piety limanowskiej. 17 lat później po kradzieży korony Matce Bożej, ten sam koronator już jako papież Jan Paweł II, ponownie włożył koronę na skronie Matki Bożej Bolesnej i ukoronował także głowę Zbawiciela. Dzisiaj radujemy się obecnością naszego metropolity, który jest

zarazem najbliższym świadkiem życia i świętości najpierw metropolity krakowskiego Karola Wojtyły, a później Jana Pawła II (...).

Na zakończenie Uroczystej Eucharystii ks. bp Andrzej Jeż dokonał zawierzenia całej diecezji tarnowskiej Matce Boskiej w Jej limanowskim wizerunku.

Obchodom rocznicowym towarzyszyło sporo interesujących wydarzeń. 10 września odbyło się Sympozjum Mariologiczne: *„Mater Dolorosa – dzieje kultu i inspiracje dla pobożności chrześcijańskiej”.*



W Jubileuszu uczestniczyło kilkudziesięciu kapłanów z całej diecezji tarnowskiej.

Po zakończeniu sympozjum zostały ogłoszone wyniki konkursu plastyczno – literacko – muzycznego *„Matka Boska Limanowska w moim życiu”.* W konkursie uczestniczyła zarówno młodzież szkół podstawowych, gimnazjum i średnich oraz osoby dorosłe. W tym dniu zostały wręczone nagrody dla laureatów tego konkursu.

11 września w bazylice limanowskiej odbył się koncert Chóru Mieszanego Canticum Iubilaeum z okazji promocji nowo wydanej płyty pt. *„Pani nasza Limanowska”.*

16 września można było wysłuchać oratorium ku czci Matki Boskiej Bolesnej, Limanowskiej Pani pt. *„Droga do Ciebie”.* Autorem słów jest Zbigniew Wrona, muzykę napisał Sławomir Szymocha, wykonawcami byli: Jadwiga Postrożna, Sylwia Zelek i Jacek Kowalczyk oraz Chór Canticum Iubilaeum, Zespół Kana – An i Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Sławomira Szymochy.

Na obchody Złotego Jubileuszu Koronacji Piety limanowskiej kustosz sanktuarium MBB, ks. Wiesław Piotrowski zaprosił także osoby, które pięćdziesiąt lat temu niosły na dekoracyjnej poduszce koronę do aktu koronacyjnego łaskami słynącej Cudownej Figury.

Byli to: *Barbara Ociepka (Garin),* przybyła z Francji oraz mieszkający w Limanowej *Kazimiera Sułkowska (Kunicka)* i *Krzysztof Ociepka.*

O historii opisującej jak doszło do tego, iż właśnie ta trójka, reprezentująca

► limanowską młodzież, doznała zaszczytu niesienia korony podczas pamiętnego 11 września 1966 r., kiedy to ówczesny metropolita krakowski ks. arcybiskup Karol Wojtyła koronował Cudowną Figurę, pisałem w artykule zatytułowanym „*Pokoleniowy łańcuch tradycji*” („EL” nr 256-257, styczeń-luty 2016 r.).

Tak jak 50 lat temu, 11 września 2016 r., tym razem za kopią Cudownej Figury, dostojnie podążała ta sama trójka, ale już dorosłych osób, zaś 18 września szli oni w delegacji w procesji z darami.

Poniżej prezentuję krótkie relacje osobistych przeżyć z przebiegu uroczystości jubileuszowych przekazane przez Barbarę Garin z domu Ociepka i Kazimierę Kunicką z domu Sułkowska.

Barbara Ociepka powiedziała: „Mija pół wieku od uroczystej koronacji Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Pięćdziesiąt lat temu także była przepiękna pogoda jak obecnie na uroczystości Jubileuszowej, z tą tylko różnicą, że wówczas byłam uczennicą klasy maturalnej limanowskiego Liceum Ogólnokształcącego, dzisiaj przyjeżdżam z Francji do rodzinnego miasta z bagażem życiowych doświadczeń.

Obecnie we współczesnej Europie pojawia się wiele nieprzewidzianych zagrożeń. W moim rodzinnym mieście czuję się jak u siebie w domu i jestem tutaj bezpieczna.

Z oddali lepiej widać zmiany, jakie dokonały się w Limanowej na przestrzeni półwiecza; jest to przede wszystkim intensywny rozwój miasta, wspaniale odrestaurowana bazylika, która zawsze była perłą tych stron.

Kiedy uczestniczyłam w jubileuszowych Mszach św. powracałam myślami do okresu sprzed 50 lat. Uważnie spoglądałam na pięknie zagospodarowany plac koronacyjny, który w 1966 roku był pustą przestrzenią. Pojawił się w mojej wyobraźni obraz niezliczonej rzeszy wiernych, na których spoglądałam wtedy z ołtarza polowego, gdzie dokonał się akt koronacyjny. Dziś ten plac jest estetycznie zagospodarowany z dużą ilością kwiatów. Wszystko to stwarza atmosferę pozwalającą głębiej przeżywać spotkanie z Panią limanowską. Pięknie wygląda także otoczenie świątyni, dzieło pracy poprzedniego kustosa sanktuarium ks. prałata Józefa Poręby, którego dane mi było spotkać jako koncelebranta podczas Mszy św. dziękczynnej. odprawionej pod przewodnictwem arcybiskupa



Koronacja Piety limanowskiej - koronę niosą (od lewej): Kazimiera Sułkowska, Krzysztof Ociepka, Barbara Ociepka - 11 września 1966 rok.



Po pięćdziesięciu latach w procesji z darami szli (od lewej): Barbara Garin (Ociepka), Krzysztof Ociepka, Kazimiera Kunicka (Sułkowska) - 18 września 2016 rok.

Henryka Nowackiego, który jak sam powiedział, 11 września 1966 r. uczestniczył w koronacji Piety limanowskiej jako alumn tarnowskiego Seminarium Duchownego.

Jak szybko biegnie czas, jak prędko upływa życie, to właśnie tu przy tronie limanowskiej Pani, można głębiej uzmysłowić sobie prawdę o przemijaniu.

Wszystko to sprawiło, że wyjeżdżam do Francji napełniona głębokimi przeżyciami, którymi podzielię się z całą rodziną”.

Kazimiera Kunicka z domu Sułkowska dodała: „Jak wspominałam w poprzedniej naszej rozmowie („EL” ze stycznia 2016 r.), takich wydarzeń się nie zapomina. Dla Limanowej była to największa uroczystość, do której parafia przygotowywała się przez szereg lat. Koronacja Piety była przede wszystkim wewnętrznym przeżyciem, a przy tym radosnym wydarzeniem.

Jubileuszowe zaś uroczystości miały inny wymiar duchowy i odmienny charakter.

Był to powrót pamięcią do tamtych lat i wyrażenie szacunku dla dokonanej wówczas koronacji.

Myszę, że głęboko to wyraził ks. bp Andrzej Jeż w liście pasterskim z okazji 50. rocznicy koronacji figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej, którego fragmenty warto przywołać.

(...) Przypadająca w jubileuszowym roku Chrztu Polski 50. rocznica koronacji łaskami słynącej Piety limanowskiej jest okazją do wyrażenia naszej gorącej wdzięczności Panu Bogu za dar Jego Matki i za tak liczne łaski, jakie poprzez Jej wstawiennictwo spływają na wszystkich, którzy „uciekają się pod Jej obronę”. Ze szczególnym szacunkiem i wdzięcznością patrzymy na pokolenia naszych przodków, którzy swe życie dogłębnie zawierzyli Bogu i Jego Matce(...).

(...) Mija pół wieku od uroczystości koronacji Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Wcześniej jednak minęły dziesięciolecia i wieki wypełnienia pobożnością mieszkańców tej ziemi, którzy przed cudownym obliczem Maryi szukali pociechy i pomocy w trudach codziennego życia. W „Księżde łask” Sanktuarium w Limanowej znajdują się setki wpisów dokumentujących otrzymane łaski przez pośrednictwo Matki Boskiej Bolesnej. W Niej tak wiele osób znalazło skuteczną pomoc i obronę (...).

(...) 50 lat temu, poprzez akt koronacji figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej została ofiarowana Maryi nie tylko królewska korona, lecz przede wszystkim zostało wobec Niej wyrażone głębokie pragnienie, aby była Królową naszych serc (...).

Karol Wojtas

Rodzinne przeżywanie jubileuszu

O koronacji limanowskiej Piety we wrześniu 1966 roku słyszałem od dziecka z rodzinnych przekazów. Wspominali o tym wydarzeniu babcia i dziadek, ale też tata i jego rodzeństwo. Czasem przy pewnych okazjach jak uroczystości rodzinne albo pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Polski opowiadali swoje przeżycia i wrażenia z 1966 roku. Pamiętam jak byłem małym dzieckiem, to przy przeglądaniu starych zdjęć u babci, wśród których były fotografie pamiątkowe z uroczystości 11 września 1966 roku, babcia opowiadała mi o tej uroczystości. Później też



Kardynał Stanisław Dziwisz metropolita krakowski podczas Mszy św. pontyfikalnej z okazji 50. rocznicy koronacji Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.

w następnych latach przy okazji różnych rocznic związanych z Janem Pawłem II mogłem w kościele czy w szkole poznać kolejne szczegóły koronacji. Mogłem też słyszeć pewne szczegóły podczas kazań ks. bp. Piotra Bednarczyka. Później już z racji swoich zainteresowań historią sam poznawałem nowe fakty dotyczące dziejów Limanowej w tym i szczegółów wydarzeń z września 1966 roku.

W 1966 roku w przeddzień uroczystości koronacyjnych w domu moich dziadków na ulicy Ogrodowej nocowali pielgrzymi. Była to rodzina brata biskupa sufragana tarnowskiego Karola Pękali. Zanocowali akurat w domu dziadków ponieważ mój dziadek, Józef Wojtas był kolejarzem i pracował w ZNTK w Nowym Sączu wraz z bratem biskupa Pękali. O samym przebiegu słyszałem z opowiadań mojego taty, który wtedy miał 16 lat i jego młodszego rodzeństwa oraz od babci i dziadka. Wiedziałem też, że brat mojego dziadka, Władysław Wojtas, niósł w stroju regionalnym figurę Matki Boskiej Limanowskiej z kościoła na plac koronacyjny. Można go zobaczyć na archiwalnych zdjęciach między innymi w albumach „Okruchy pamięci”.

Wspólnym rodzinnym przeżyciem było więc wzięcie udziału w centralnej uroczystości odpustowej 18 września 2016 roku. Moja rodzina uczestniczyła w mszy św. odprawianej przez metropolitę krakowskiego kardynała Stanisława Dziwisza. Po 50 latach znów w tym

samym miejscu stanęli na placu mój tata Jerzy i jego brat Stanisław, jego siostra Janina i brat Kazimierz, którzy przed 50 laty jako dzieci uczestniczyli w koronacji. Po mszy świętej wróciliśmy do nas do domu na obiad. Po obiedzie rodzice, ciocie i wujkowie oglądali albumy „Okruchy pamięci” i opowiadali, co pamiętają z 1966 r. Siostra i najmłodszy brat taty przyjechali specjalnie na te uroczystości 18 września, gdyż na co dzień mieszkają poza Limanową.

Sam uczestniczyłem w większości wydarzeń jubileuszowych. Brałem udział i w mszach 11 września i 18 września oraz byłem na sympozjum i koncertach. Same obchody jubileuszowe uważam za uroczyste i dostojne.

Dobrze, że na początku odbyło się sympozjum, ale według mnie to za mało. Szkoda, że przy okazji takiego jubileuszu odbyło się tylko małe sympozjum z czterema referatami, a nie duża interdyscyplinarna konferencja naukowa z referatami z zakresu historii Kościoła, historii sztuki, historii najnowszej, ale też z badań nad ruchem pielgrzymkowym. Takie konferencje odbywają się u nas w kraju przy okazji takich jubileuszy i sam w kilku uczestniczyłem. Szkoda, że przy tej okazji nie poznaliśmy obecnego spojrzenia historyków sztuki średniowiecza na Pietę Limanowską i aktualnego stanu badań naukowych. Dobrze, że ukazały się drukiem materiały archiwalne związane z koronacją wydane ►

► w książce „Koronacja cudownej figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Przygotowanie i przebieg uroczystości koronacyjnej”, ale wiadomo, że istnieją jeszcze dokumenty w IPN wytworzone przez SB i MO, które ukazałyby jeszcze szerszy obraz tej uroczystości.

Mam też taką refleksję. Na archiwalnych zdjęciach z przebiegu koronacji widać, że jeden z kapłanów filmuje uroczystości amatorską kamerą filmową. Kilka lat temu w TVP 1 oraz TVP Historia widziałem film dokumentalny nakręcony z okazji 40. rocznicy Millenium Chrztu Polski, podczas którego był fragment ukazujący przez kilkadziesiąt sekund nagranie z kamery z przebiegu koronacji 11 września 1966 roku w Limanowej. Był tam pokazany abp Karol Wojtyła i moment koronacji, ale też tłum pielgrzymów. Było to nagranie kolorowe z kamery, z ujęć z ręki. Szkoda, że przy okazji jubileuszu nie postarano się odnaleźć tych archiwalnych nagrań i udostępnić ich szerszej publiczności.

I jeszcze jedno spostrzeżenie. W ostatnich latach zanika tradycja strojenia okien i witryn obrazami i dekoracjami z okazji Wielkiego Odpustu. Jeszcze kilkanaście lat temu w Limanowej było pełno okien domów i mieszkań udekorowanych obrazami i dekoracjami oraz kwiatami na czas tygodnia odpustowego. Były także dekorowane witryny sklepów i instytucji przy Rynku i głównych ulicach miasta. Dzisiaj to jest rzadkością. Zmieniają się także pewne tradycje i zwyczaje. Widzę różnicę podczas obchodów jubileuszu i całego Wielkiego Odpustu, a tym co pamiętam nawet z lat 90. XX wieku, gdy byłem ministrantem i lektorem. Wiadomo, świat się zmienia i zwyczaje się zmieniają, ale pewne rzeczy trzeba kultywować.

Cieszy również, że uroczystościom jubileuszowym towarzyszyły dodatkowe wydarzenia. Odbyła się premiera Oratorium ku czci Matki Boskiej Bolesnej pt. „Droga do Ciebie”, a także koncert i premiera płyty chóru Canticum Iubilaeum. Dobrze, że były one transmitowane. Ukazało się też wiele artykułów w prasie regionalnej i ogólnopolskiej. Na pewno obchody rocznicowe odbiły się szerokim echem w regionie. Cieszy także, że „Echo Limanowskie” w ostatnich wydawanych numerach zamieszczało artykuły bogate w treści związane ze wspomnieniami i wydarzeniami z koronacji w 1966 roku.

Józef Szymon Wroński

Wotum uwielbienia i dziękczynienia

Oficjalnie obchody Złotego Jubileuszu Koronacji Piety Limanowskiej, do których przygotowania na różnych szczeblach trwały od kilku lat, rozpoczęły się Mszą św. koncelebrowaną w pogodny, sobotni poranek 10 września 2016 r. Uczestnicy, zgromadzeni w bazylice, wysłuchali monumentalnej – *intrad*, skomponowanej na otwarcie Domku Matki Boskiej i Pana Jezusa, napisanej przez Sebastiana Szymańskiego, zdolnego muzyka, który w ramach konkursu artystycznego zdobył główną nagrodę – *grand prix*. Muzyka ta – powiedział kompozytor – zawiera testament i odsłania tajemnicę, którą Maryja nam przekazała. Następnie kustosz sanktuarium ks. prał. dr Wiesław Piotrowski przywitał czcicieli MB Bolesnej, przypominając, że to właśnie 11 września (czyli jutro) minie 50 lat od momentu, gdy abp Karol Wojtyła – Metropolita Krakowski, włożył na skronie Pani Limanowskiej papieską koronę. Homilię wygłosił ks. prał. Józef Poręba, wieloletni proboszcz i kustosz sanktuarium limanowskiego. W głębokich i refleksyjnych słowach przypominał pokrótce historię Piety, wskazując na wiele łask uzyskanych w przeciągu wieków za przyczyną MB Limanowskiej, a w szczególności na cud uzdrowienia z ciężkiej choroby pacjenta, który cierpiał na złośliwego raka żołądka. Lekarze

nie dawali mu szans przeżycia, a on został uzdrowiony i po badaniach okazało się, że po chorobie nie ma śladu. Te słowa o łasce uzdrowienia przyjmowane były przez czcicieli Matki Bożej Bolesnej z ogromną uwagą. Na zakończenie Mszy św. wybrzmiał hejnał (pendant do *intrad*), pozostawiając czcicieli w zadumie, gdy przy dźwiękach ściszącej się coraz bardziej muzyki, zaśnaniał się powoli Domek Matki Boskiej i Pana Jezusa.

Uczestnicy przeszli do Domu Pielgrzyma, by tam wziąć udział w Sympozjum Maryjnym, zorganizowanym z okazji 50-lecia Koronacji Cudownej Figury MB Bolesnej, zatytułowanym „*Mater Dolorosa*” – *dzieje kultu i inspiracje dla pobożności chrześcijańskiej*”. Po otwarciu sympozjum i przywitaniu gości i prelegentów przez kustosza sanktuarium, głos zabrał Ordynariusz Tarnowski ks. bp dr Andrzej Jeż, który swym słowem refleksji wprowadził w problematykę sympozjum. Uczestnicy wysłuchali czterech referatów. Ks. dr hab. Janusz Królikowski z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie (Sekcja w Tarnowie) wprowadził w sposób naukowy, ale zrozumiały w „*Dzieje kultu Matki Boskiej Bolesnej w Kościele*”. Piszący te słowa, reprezentujący również Uniwersytet Papieski, mówił o „*Historii kultu Piety Limanowskiej*” na przestrzeni wieków, zwracając uwagę, że dzieje miasta i kultu MB Bolesnej są ze sobą ściśle powiązane (np. dzięki kultowi ugruntowała się obecna nazwa miasta,



Ekspozycja na placu przed bazyliką, prezentująca koronację Piety 11 września 1966 roku.



Oltarz polowy na placu koronacyjnym, na którym odbyły się uroczystości jubileuszowe.

gdyż zamiennie (w miejsce MB Bolesna lub Pieta) stosowano nazwę MB Bolesna z Limanowy albo (co miało miejsce na początku XX w.) MB Limanowska.

Po krótkiej przerwie (przeznaczonej na rozmowy kulturalne przy ciastku, kawie lub herbacie) dr Grażyna Zielińska z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przybliżyła „wartości emocjonalne ukryte w Piecie”, a ks. dr hab. Cezary Sumniński z Akademii Obrony Narodowej w Warszawie mówił w sposób sugestywny, który tak bardzo przypadł do gustu słuchaczom, o czterech atrybutach pobożności Maryjnej: o bliskości (bo Maryja zawsze jest skądś: z Częstochowy, z Limanowej czy Pasierbca), o spotkaniu (tajemniczy spotkania), o potwierdzeniu doświadczenia (Matka Boska otuchą dla matek, które dały swoich synów Ojczyźnie) oraz adoracji, podkreślając, że nie ma pobożności Maryjnej bez bezpośredniości¹. Sympozjum, biorąc pod uwagę jego główną ideę – KULT – przygotowane było profesjonalnie, co podkreślali uczestnicy, ale było ono raczej otwarciem owej problematyki badawczej niż jej podsumowaniem. Było naukowym podprowadzeniem pod przyszłe, solidne studium nad Pietą Limanowską, która czeka na swego badacza-mediewistę. Zainteresowanie sympozjum było spore tak, że w trakcie obrad uczestników przybywało i niektórzy z nich zmuszeni byli nawet stać, bo zabrakło miejsc siedzących. Sympozjum zakończyło się

ogłoszeniem wyników konkursu plastyczno-literacko-muzycznego, który odbywał się pod znamienym zawołaniem: *Matka Boska Limanowska w moim życiu*. Wyniki konkursu przedstawił kustosz sanktuarium ks. prał. dr Wiesław Piotrowski, a dyplomy, nagrody i wyróżnienia wręczał osobiście ks. bp. dr Andrzej Jeż – Ordynariusz Tarnowski, gratulując każdemu z uczestników uzyskanego wyniku i dalszych sukcesów na niwie artystycznej. Była to dopiero introdukcja do głównych uroczystości, które miały miejsce w dniach następnych.

W dniu 11 września, dokładnie 50 lat od Koronacji w Roku Jubileuszowym 1050. rocznicy Chrztu Polski, na Placu Koronacyjnym, na którym zgromadzili się wierni i pielgrzymi, można było przeczytać słowa pieśni do Matki Boskiej Limanowskiej: *Limanowska Pani Matko Nasza Droga, Idziemy do Ciebie, Prowadź nas do Boga*. Uroczystej Mszy św. w tym dniu przewodniczył ks. abp Henryk Nowacki – nuncjusz apostolski w Danii, Norwegii, Szwecji i Finlandii, który wygłosił homilię, mówiąc między innymi: W Piecie chcemy oddać cześć i uwielbienie Chrystusowi i Jego Matce. Koronacja odbyła się w trudnych czasach systemu komunistycznego, ale rok 1966 był rokiem historycznym dla Polski – 1000-lecia Chrztu Polski, w które to uroczystości Millenijne koronacja Piety Limanowskiej została włączona. I dodał: Czujemy się wolni w tym miejscu, a Matka

Boża Limanowska, wybierając tę parafię na swój dom, w ten sposób Was limanowian wyróżniła. Matka Boska jest przy śmierci i po śmierci i bierze w swoje ramiona każdego, jak wzięła swojego Syna. Są to chwile rozdzierające serce, ale dlatego możemy do Niej mówić o wszystkim: o bólu, przeszłości (o zwycięstwach i sukcesach), porażkach i przyszłości, bo jest to Matka Naszej Wolności. Jej dyskretna obecność jest zarazem obecnością miłującego Boga; Bóg kocha ludzi, wychodzi naprzeciw niepokojowi ludzkiemu, a jeśli nie ma miłości, to wszystko umiera. Tu przed cudowną Figurą MB Bolesnej Limanowskiej jesteśmy blisko Boga, bo Bóg nas kocha, by nas zbawić. Czy odpowiadamy miłością Jego, miłując bliźniego? Oto jest pytanie. I pytał Arcybiskup dalej: Czy my naprawdę jesteśmy świątynią Boga? Czy nie stajemy się ludem oddalającym się od Boga? Czy zachwyceni konsumpcją, zapatrzeni w ideologię, nie osłabiamy naszej wiary? I odpowiadał zdecydowanie: Wiemy, do czego doprowadziły ideologie w zeszłym stuleciu. Trzeba nauczyć się iść pod prąd – stwierdził Arcybiskup i dodawał otuchy wszystkim, a w szczególności młodym, mówiąc: Pielgrzymujemy do tego sanktuarium, aby umocnić naszą wiarę, aby umocnić w sobie Boga, a Pan Bóg potrzebuje Waszej wiary, chciałby, abyście wyszli z tej uroczystości jeszcze bardziej umocnieni w Waszej wierze. My potrzebujemy wszystkich młodych i starszych, którzy ukażą drogę młodym, jak mają żyć. Wasz przykład jest potrzebny. Wy jesteście budowniczymi cywilizacji miłości, bo wiara bez miłości jest wiarą bez Chrystusa. Prosimy Cię Maryjo, zakończył homilię abp Nowacki, abyś podczas naszej wędrówki, wskazała nam drogę i cel, a ziemia ta, na której jest tyle sanktuariów [Kalwaria Zebrzydowska, Pasierbiec, Limanowa, Ludźmierz, Myślenice, Bochnia, Szczyrzyc, Nowy Sącz i wiele jeszcze innych], to Ziemia Święta. To tylko niektóre ważniejsze myśli z homilii nuncjusza apostolskiego.

Warto podkreślić, że w dniu 11 września w 50. rocznicę Koronacji Piety Limanowskiej, swoją obecnością zaszczylił nas ks. prał. Jan Bukowiec² – szef sekcji porządkowej sprzed 50 laty. Jego obecność spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Po nabożeństwie ludzie otoczyli Go „przyjacielskim kołem” i nie chcieli wypuścić, stojąc wokół Niego ze łzami w oczach. Serce ks. ►



Kapłani w czasie Mszy św. dziękczynnej 11 września 2016 r. Pierwszy z prawej siedzi ks. prałat Jan Bukowiec, który w czasie koronacji 11 września 1966 r. był zaangażowany w sekcji organizacyjno-porządkowej.



Prawykonanie Oratorium dla Matki Boskiej Limanowskiej.

Prałata z pewnością napełniło się radością. Zapytany o swoje odczucia i wrażenia jubileuszowe, odpowiedział: „Niech będzie Bóg uwielbiony w swoich czcicielach Matki Bożej Bolesnej”. Odnosząc się zaś do organizacji uroczystości stwierdził: „Limanowioki postawili na swoim i nawet przeszli siebie”, ustosunkowując się natomiast do deszczowej prognozy pogody i bezdeszczowej pogody podczas uroczystości w dniu 18 września, stwierdził jednoznacznie: „Matka Boża pobłogosławiła, powstrzymała deszcz”³.

Po południu w bazylice odbył się koncert chóru parafialnego „Canticum Jubileum”, pod batutą miejscowego organisty Marka Michalika. W koncercie wybrzmiały w sposób profesjonalny liczne utwory a pośród nich dwie znane i popularne pieśni Maryjne: *Pani Nasza Limanowska* i *Z limanowskiej wieży*, do których słowa ułożył m.in. wielki czciciel Matki Bożej Limanowskiej, ks. bp Piotr Bednarczyk, a partię solową wykonała nasza Rodaczka, śpiewaczka Opery Dolnośląskiej mezzosopranistka p. Jadwiga Postrożny. Zaś p. Krzysztof Młynarczyk oprowadził koncert pięknym, sugestywnym i mądrym słowem.

Sumę 15 września – w dniu rozpoczęcia Wielkiego Odstępu – odprawił Ordynariusz Częstochowski abp Adam Depo, którego obecność była widocznym znakiem współpracy duchowej stolicy Polski z limanowskim sanktuarium. W piątek 16 września

Mszę św. o godz. 18⁰⁰ odprawił na Placu Koronacyjnym Ordynariusz Tarnowski ks. dr Andrzej Jeż, który w homilii zwrócił uwagę m.in. na ważny rys wizerunku Maryi w Piecie Limanowskiej: „W postaci Maryi – mówił bp Andrzej Jeż – nie ma bólu, nie zwiesza Ona głowy, patrzy przed siebie, ma przeczucie, że ten widoczny kolec nie jest kolcem. Jest to droga odkupienia, za cieniem krzyża jawi się blask zmartwychwstania”. [...] MB Bolesna jest wzorem zaufania Bogu. Chce nas [...] prowadzić do Boga.

W ramach uwielbienia Boga w 50. rocznicę Koronacji Piety Limanowskiej, by przysporzyć chwały dziękczynienia za akt Koronacji, odbywało się szereg nabożeństw i uroczystości towarzyszących, a także wydarzeń kulturalnych np. w dniu 11 września miało miejsce poświęcenie kapliczki u zbiegu ulic ks. Jana Rachwała i Źródlanej, a w dniu 16 września w piątek o godz. 19³⁰ odbyło się prawykonanie Oratorium dla Matki Boskiej Limanowskiej, które w zamyśle Bożym było od zawsze, trzeba było tylko posłuchać Ducha Świętego i wykonać zadanie – jak powiedziała p. Katarzyna Śliwa, która koordynowała program i wykonanie utworu. Matka Boża sama wybrała sobie ludzi do wykonania tego dzieła, do którego tekst napisał Zbigniew Kazimierz Wrona, a muzykę Sławomir Szymocha. Obaj wcześniej służyli już swoimi talentami w limanowskiej Bazylice podczas rekolekcji ewangelicznych: ¹.

Bóg jest miłością i kolejnych: *Oto Matka Twoja*. Gdy zapytałem p. Katarzynę, jak odebrała wykonanie utworu, odpowiedziała: „Wielbi dusza moja Pana i raduje się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim”. Myślę, że jest to odpowiedź, którą podzielają wszyscy albo większość, którzy wysłuchali tego monumentalnego utworu ku czci i uwielbieniu Matki Bożej i Jej Syna. Ponadto „lud Boży przyjął gromkimi oklaskami pieśń *Pani Limanowska pobłogosław nam*. Ta pieśń, po zatwierdzeniu przez kurię, będzie wykonywana podczas liturgii w limanowskiej Bazylice” – dodała p. Katarzyna Śliwa. Po wykonaniu Oratorium głos zabrał ks. bp Andrzej Jeż, który w sugestywnych i plastycznych słowach odniósł się do utworu, mówiąc, że tymi perełkami i diamentami, z których utwór się składa, ponownie ukoronowaliście Maryję i Jezusa, dziękując w ten sposób artystom i wykonawcom, a także i słuchaczom.

Uroczystości odpustowe trwały od 15–22 września. Centralną sumę odpustową w dniu 18 września odprawił kard. Stanisław Dziwisz, następca Karola Wojtyły na Krakowskim Biskupstwie. W słowie powitalnym bp tarnowski Andrzej Jeż podkreślił znaczenie obecności ks. Kardynała. „W osobie ks. Kardynała dostrzegamy historyczną ciągłość, bowiem 50 lat temu abp Karol Wojtyła koronował Pietę, a później [...] Jako Jan Paweł II 22 czerwca 1983 r. włożył korony na skronie Matki i Jej Syna Jezusa”. W homilii ks.



Fot. Jakub Trojanowski



Poczty sztandarowe w czasie Mszy św. 18 września 2016 roku.

Kardynał powiedział: Wspominamy dzisiaj kilka wydarzeń, sięgamy pamięcią do koronacji sprzed 50 lat, którą cały Kościół i Diecezja Tarnowska włączyła w obchody 1000-lecia Chrztu Polski. Chcemy dziękować za doroczne plony, które symbolicznie w darze ołtarza przynieśli okoliczni rolnicy. W to dziękczynienie chcemy włączyć Światowe Dni Młodzieży, centralne uroczystości w Krakowie, bo wdzięczność jest pamięcią serca. Maryja wstawia się za nami w podążaniu ku wieczności. Człowiek nie przestaje Jej dziękować za to wszystko. Ile modlitw dociera dzień i noc do Maryi, do nieba, do Pani Naszej. Maryjne sanktuaria wpisały się w nasz polski pejzaż. Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej wpisuje się w ten nurt autentycznej pobożności. Charakterystycznym wyrazem jest koronacja, a skoro Ona trzyma w swych ramionach Jezusa Chrystusa – Króla Wszechświata, Królowej należy się korona [która jest wyrazem zawierzenia i dziękczynienia], ale najlepszą koroną – podkreślił Kardynał – jesteśmy my sami. I dodał: Św. Papież dwa razy wpisał się w dzieje cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej. Stał na tej ziemi i ukoronował papieską koroną, ponownie po kradzieży korony w związku z 600-letnim Jubileuszem Pani Częstochowskiej⁴ i gdy prosił, „by Ona sama strzegła tej wiary w nas i w przyszłych pokoleniach”. Dziś – dodał Kardynał – możemy św. Janowi Pawłowi II powiedzieć, że tę wiarę

zachowujemy. Kardynał pytał: Czym byłaby dziś Polska bez Chrystusa, bez Matki? Dlatego również Kościół Tarnowski dziękuje za to wszystko, za dar chrztu, za dar łaski, za powołania kapłańskie, zakonne [...] i Kościół Tarnowski dzieli się z wiernymi, wysyłając misjonarzy w najdalsze zakątki świata. Dziękujemy za dar osoby i pontyfikatu Jana Pawła II, którym jesteśmy ubogaceni. Diecezja Tarnowska jest częścią Archidiecezji Krakowskiej. Jan Paweł II znał tę ziemię, podziwiał ją i często po niej wędrował. Dziękujemy papieżowi Franciszkowi, który przed trzema laty powierzył nam przygotowanie Światowych Dni Młodzieży, za to bardzo mu dziękujemy. Dotarła tu do nas młodzież z ponad 170 krajów. Dziś możemy powiedzieć, że Jan Paweł II czuwał nad tym wszystkim, bo pogoda była, bezpieczeństwo pewne, a młodzież zabrała z Krakowa do swoich krajów znajomość naszego narodu i kultury. Powierzamy to wszystko Jezusowi Chrystusowi i Jego Matce. Prosimy na całej ziemi [...] o Boży pokój. To tylko niektóre myśli z homilii kard. Stanisława Dziwisza.

Na zakończenie odpustu w dniu 26 września odbyła się – zgodnie z wielowiekową tradycją – procesja z bazyliki do Kaplicy Łaski w Mordarce, po czym sprawowana była Ofiara Mszy świętej. Jak w pamiętną niedzielę 11 września przed 50 laty tak i teraz niebo nad Limanową było błękitne, otoczone jedynie na obrzeżach tego błękitu puszystymi kłębkami chmur.

W głębokiej homilii bogatej w humanistyczne, religijne i psychologiczne treści ks. bp Andrzej Jeź powiedział między innymi: Imię ubogiego Łazarza jest bogactwem w oczach Boga wobec anonimowego bogacza, który imienia nie ma (w przypowieści o bogaczu i Łazarzu). Każdy nosi imię, które umożliwia rozpoznanie jego osoby. Co oznacza nosić imię? Ile trudu trzeba włożyć, by pracować sobie na dobre imię. Co czuli więźniowie pozbawieni w obozach imienia, noszący tylko numery? Nasze imię wyróżnia nas spośród innych. Co znaczy stracić dobre imię w oczach ludzi? Można stracić dobre imię w oczach Bożych, imię wyraża godność w oczach Boga, oznacza całą osobę, znaczy być kimś (wybrany np. przez Boga). W tym kontekście wybrania szczególnie miejsce zajmuje imię Maryja. Dodajmy od siebie, że do XVII w. imię Maryja w Polsce było zastrzeżone i nikt nie odważyłby się nadać je wówczas dziecku. Ileż to razy wojowie i żołnierze z imieniem *Maryi Bogiem Sławionej* na ustach szli do boju: pod Grunwaldem, Wiedniem czy Warszawą, bo imię Maryja znaczy tyle co gwiazda i świeci jak gwiazda. Maryja była jak tysiące kobiet, matek, ale w Jej życiu było coś wyjątkowego: życie Maryi było podporządkowane woli Bożej, zakończył homilię bp Andrzej Jeź. I dlatego – dodajmy od siebie – w Litani Loretańskiej śpiewamy: *Święta Maryjo – módl się za nami.*

Gdyby chciał porównać te dwie uroczystości, a więc Koronację z 1966 r. i Złoty Jubileusz Koronacji Piety Limanowskiej, to trzeba powiedzieć, iż odbyły się one w dwóch różnych kontekstach i realiach politycznych, które trudno w ogóle ze sobą porównywać. Czym innym była Koronacja, a czym innym Jubileusz Koronacji. Ta pierwsza uroczystość w czasach PRL miała charakter jakby manifestacji, przywiązania do wiary i Kościoła. Uczestniczenie w niej było opowiedzeniem się po stronie Kościoła, a nierzadko wymagało odwagi cywilnej. „Koronacja – przypomniał nam bp Andrzej Jeż – Ordynariusz Tarnowski – wpisała się w całą koncepcję Episkopatu Polski i Prymasa Wyszyńskiego, aby uroczystości Milenijne wzmocnić w wymiarze kościelnym”⁵.

Z kolei Jubileuszowe obchody w wolnej Polsce miały jakby inny kontekst, wsparte dodatkowo wspaniałą oprawą: naukową, artystyczną, zainspirowały do powstania wielu wydawnictw⁶ oraz dzieł, między innymi Oratorium, a owocami tych wydarzeń jeszcze długo będziemy się cieszyć i je zgłębiać. Aby się jak najdłużej zachowały należałoby je utwalić, wydając materiały drukiem. Tak jak materiały z pierwszej uroczystości wydane zostały w postaci książkowej, tak czekamy na podobną dokumentację z Jubileuszowych Obchodów, w której znalazłyby się homilie, teksty wykładów z sympozjum oraz pozostałe materiały. Jubileusz stał się inspiracją do przeprowadzenia remontu kościoła (restauracji prezbiterium, konserwacji Piety), który – da Bóg – zakończy się za dwa lata, gdy będziemy obchodzić 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości i 100. rocznicę poświęcenia kościoła.

Podsumowując to bogactwo nabożeństw, uroczystości i oprawę artystyczną (mam na myśli występy chórów, zespołów, twórców i artystów oraz wystawy, konkursy i nagrania⁷), nie sposób nie użyć podniosłych słów, sięgając nawet po słowa patetyczne, bo były to przeżycia głębokie, występy profesjonalne, przygotowane przez wielu ludzi, nad którymi czuwały poszczególne zespoły i poszczególne osoby, a wszystko koordynowane było przez ks. kustosa dr. Wiesława Piotrowskiego, któremu z całego serca trzeba pogratulować, bo czyniąc to wszystko ku Większej Chwale Boga i rozślawiania kultu Matki Bożej – Naszej Pani Limanowskiej, zapraszając



Składanie darów plonów.

znakomitych hierarchów, artystów i naukowców, zasłużył sobie na słowa podziękowania i szacunku.

P.S. Piszący te słowa jest szczęśliwy, że mógł uczestniczyć w tych Jubileuszowych Obchodach i z bliska przeżywać i patrzeć na wiernych i pielgrzymów, którzy przybywali, by dziękować i wielbić Boga przez wstawiennictwo Matki Najświętszej czczonej w Limanowskiej Piecie⁸. Moje dziękczynienie jest tym większe, że Łaskę uzdrowienia zawdzięczam MB Bolesnej Limanowskiej – Tej Szafarce Łask – Królowej Uzdrowienia Chorych. Toteż książki i artykuły, które piszę oraz wykłady, które prowadzę, także za granicą w ramach dziękczynienia, poświęcam Matce Boskiej Limanowskiej, by szerzyć Jej kult, spłacając tym samym wielki dług wdzięczności, jaki zaciągnąłem wobec Niej w dzieciństwie.

Fotografie: Stanisław Ociepka

¹Wypowiedzi oraz kazania podane są w wolnym ujęciu, mają jedynie oddać ich treść i ducha.

²Pomimo iż w Limanowej-Sowlinach na plebanii miał ks. Prałat odprawić Mszę św. w intencji moich Rodziców w 50. rocznicę zawarcia przez nich sakramentu małżeństwa – powiedziała p. Katarzyna Śliwa. A ponieważ zbiegło się to z 50. rocznicą Koronacji Piety Limanowskiej, a Rodzice bardzo pragnęli być na tej uroczystości, ks. Prałat zrobił [nie tylko] Rodzicom niespodziankę i wybrał się z pomocą ks. prob. Tadeusza Śmierciaka na Plac Koronacyjny przy Bazylice Limanowskiej – dodała p. Kasia Śliwa.

³Dziękuję bardzo p. Katarzynie Śliwa za udostępnienie nagrania tych słów wypowiedzianych przez ks. prał. Jana Bukowca w dniu 19 września 2016 r.

⁴Gdy Jan Paweł II przystąpił do koronacji Piety Limanowskiej, sekretarz papieski ks. Stanisław Dziwisz (obecnie kardynał) zaprosił ks. Józefa Porębę – proboszcza limanowskiego, by pomógł papieżowi w założeniu i umocowaniu korony (można to oglądać na wielu fotografiach).

⁵*Kościół w Polsce jest nadal mocny*, Rozmowa z ks. biskupem tarnowskim Andrzejem Jeżem, „T s dobry tygodnik sądecki”, nr 37 (306), 15 września 2016, s. 6.

⁶M.in.: *Koronacja Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Przygotowanie i przebieg uroczystości koronacyjnej*, red. ks. dr Wiesław Piotrowski, Limanowa 2016; *Matka Boska Bolesna, Pani Limanowska – Modlitewnik*, red. ks. dr Wiesław Piotrowski, Limanowa 2016; ks. St. Wojcieszak, *Pani Nasza Limanowska*, 50. Rocznica koronacji limanowskiej Piety 1966–2016, Limanowa 2016.

⁷Nagranie CD: *Matko Limanowska: słowa* – Piotr Bukowiec, muzyka – Wojciech Brewczyński, zdjęcia i montaż – Kamil Kruczek, aranżacja – ks. Paweł Furdyna, Leszek Mordarski, wykonanie – zespół „Consonans”; *Pani Nasza Limanowska*, Chór Mieszany Canticum Jubileum przy Bazylice MBBolesnej w Limanowej, pod dyr. Marka Michalika, Limanowa 2016.

⁸Tylko z tych uroczystości, na których dane mi było być, pozostawiłem powyższe skromne słowo pisane.

Fotoreportaż na stronach: 34-35

Powstało z wiary, z myśli i z serca

Ilona Machowicz – Jurowicz

Oratorium ku czci Matki Bożej Bolesnej – Limanowskiej Pani

Powstało z wdzięczności wobec Maryi oraz chęci uczczenia 50. rocznicy koronacji Cudownej Figury Matki Bożej Bolesnej z Limanowej. Stanowi głębokie świadectwo wiary, jest rezultatem dojrzałych przemyśleń na temat drogi człowieka i odkrywania Boga. „Pytanie o drogę, to pytanie o prawdę, o ducha, o wartości. Pytanie o cel, to pytanie o życie po życiu” – mówi fragment recytatywu otwierającego dzieło. Autor tekstu, poeta Zbigniew Kazimierz Wrona nazwał je: „Kantatą serca” – pieśnią o miłości Boga i miłości Matki, która jest niezbędna, abyśmy „nie zgubili szlaku”.

Oratorium to poruszające dzieło artystyczne, w którym słowo i muzyka, skomponowana przez nauczyciela limanowskiej PSM Sławomira Szymocha, stanowią harmonijną całość, jedność „Ducha i Litery”. Zabrzmiało uroczystie w piątek 16 września br. w Bazylice Matki Bożej Bolesnej w Limanowej. Obecny na koncercie biskup tarnowski ks. dr Andrzej Jeż nazwał utwór i jego wykonanie „muzycznym ukoronowaniem Matki Bożej Bolesnej w 50. rocznicę koronacji”.

Zamiar i realizacja

„Zamiar napisania oratorium powstał 5 lat temu” – wspomina autor libretta Zbigniew Kazimierz Wrona, poeta, twórca trzech tomików wierszy oraz tekstów religijnych. „Wtedy Katarzyna Śliwa, solistka zespołu „Kana – An”, z którą nieraz współpracowałem przy projektach ewangelizacyjnych zaproponowała, abym stworzył oratorium z okazji 50. rocznicy koronacji Limanowskiej Piety. Wówczas uważałem, że przerasta to moje możliwości. Kiedy podzieliłem się z nią swoimi wątpliwościami usłyszałem: „Potrafisz i napiszesz”. Wtedy nastąpił przełom. Z ufności wobec Boga napisał pieśń „Uwielbiam Cię”, która nie została włączona do oratorium, ale przez 1,5 roku była przebojem Radia RDN. Wkrótce zaczęły powstawać kolejne fragmenty. Tworzenie libretta trwało rok. W 2012 roku autor przekazał gotowy tekst ks. prałatowi dr. Wiesławowi Piotrowskiemu, wspierającemu pracę nad dziełem. Następnie, przez kolejny rok kompozytor Sławomir Szymocha tworzył muzykę.

Człowiek i droga

Oratorium „Droga do Ciebie”, według autora tekstu, jest opowieścią o życiu człowieka, opowieścią o nim i o każdym z nas. Klamrę kompozycyjną stanowi recytatyw „Człowiek i droga” podzielony na dwie części. Ostatnim akcentem jest

„Pieśń o moim Bogu”. Dzieło składa się z 21 fragmentów.

Pierwsza część to historia zbawienia oparta na siedmiu czytaniach Pisma Świętego. Dwa pochodzą z Ewangelii św. Łukasza (Jan Chrzciciel, Narodzenie Jezusa), cztery z Ewangelii św. Jana (Pierwszy znak w Kanie Galilejskiej, Jezus i Samarytanka, Testament z Krzyża, Zmartwychwstały ukazuje się Apostołom) i jeden z Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian. Komentarz do nich stanowią pieśni.

W pierwszej części oratorium *Maryja ukazana jest jako Matka Chrystusa, by po Testamencie z Krzyża stać się naszą Matką* – wyjaśnia autor. *Druga część rozpoczyna się recytatywem „Adresy”, po którym następują pieśni mówiące o roli Maryi w naszym życiu i o Jej bezwarunkowej miłości. Znajdziemy tam również odpowiedź człowieka na tę miłość.*

Szczególną rolę w tej części przypisuje autor motywowi cierniowych kwiatów: *Cierniowe kwiaty to te, które są wynikiem zwycięstwa ducha nad ciałem, nad naszymi słabościami, trudnościami, nad grzechem. Maryja chodzi po łąkach naszych sumień.*

Dwa utwory „Historia o Bożej Pani” oraz „Pani Limanowska” zostały poświęcone Matce Bożej Bolesnej i ściśle wiążą się z 50. rocznicą koronacji Cudownej Figury Piety Limanowskiej. „Pani Limanowska”, charakteryzująca się prostotą formy, weszła do repertuaru



Prowadzący koncert Grażyna Nowak i Zbigniew Wrona.

pieśni śpiewanych w Bazylice MBB i była wykonywana podczas tegorocznego Wielkiego Odpustu Maryjnego.

Wybrzmieć w melodii...

Autorem partytury Oratorium „Droga do Ciebie” jest Sławomir Szymocha, nauczyciel klasy skrzypiec w PSM w Limanowej, opiekun laureatów konkursów ogólnopolskich i międzynarodowych. Prowadzi działalność muzyczną – ewangelizacyjną przy Bazylice MBB w Limanowej, jest dyrygentem zespołu Kana-An i twórcą kompozycji o charakterze religijnym. Współpracował ze Zbigniewem Kazimierzem Wroną, tworząc muzykę do jego wierszy.

Z propozycją napisania partytury do oratorium zwrócił się do mnie ks. prałat Wiesław Piotrowski – wspomina Sławomir Szymocha. Początkowo miałem obawy, czy podołam tej pracy – forma oratorium wymagała stworzenia partii solowych, chóralskich oraz dla orkiestry symfonicznej. Praca nad kompozycją trwała rok. Religijny charakter tekstu, różnorodność refleksji i przemyśleń wymagały muzycznej oprawy. Autor samodzielnie decydował, które partie przeznaczyć dla



Wykonawcy Oratorium: (od lewej) artystka Opery Wroclawskiej, Jadwiga Postrożna - mezzosopran, studentka Akademii Muzycznej w Krakowie, Sylwia Zelek - mezzosopran, solista zespołu Confessio, Jacek Kowalczyk - tenor.



Oratorium ku czci Matki Bożej Bolesnej Limanowskiej Pani

Twórcy oratorium, od lewej: Zbigniew Wrona (autor tekstu), Sławomir Szymocha (kompozytor).

Fotografie:
Jakub Trojanowski



solistów lub dla chóru, gdzie znajdują się kulminacje. Wprowadził nowatorskie elementy; w tradycyjnym oratorium czytany tekst Ewangelii poprzedza stały podkład muzyczny. W Oratorium „Droga do Ciebie” fragmenty Ewangelii zostały zaśpiewane. Pewną trudność stanowiło opracowanie do nich melodii, gdyż tekst biblijny składa się z wersetów różnych długości. W ciągu roku powstało kilka set stron partytury zapisanej przez kompozytora w sposób tradycyjny, ręcznie. W opracowaniu komputerowym wielką pomoc okazał Lucjan Bożek – nauczyciel PSM w Limanowej.

Ostatni etap przygotowań to zaangażowanie wykonawców i organizacja prób, które trwały przez ostatni rok. W wykonaniu uczestniczyło 120 osób – artyści scen muzycznych, studenci oraz uczniowie szkół muzycznych II stopnia, a także członkowie chórów limanowskich: Canticum Iubilaeum, Chóru Męskiego i zespołu Kana-An. Partie solowe zaśpiewali: artystka Opery Wrocławskiej Jadwiga Postrożna (mezzosopran), studentka II roku Akademii Muzycznej w Krakowie, laureatka wielu konkursów Sylwia Zelek (mezzosopran) oraz solista zespołu Confessio Jacek Kowalczyk (tenor).

Orkiestrę symfoniczną stworzyli instrumentalisci z Limanowej, Katowic i Krakowa – studenci i uczniowie szkół muzycznych II stopnia. Aby uzyskać pełne brzmienie wykorzystano nietypowe instrumenty: waltornie, fagot i obój. W związku z tym zaistniała potrzeba

zaproszenia wykonawców. Było to kilka osób, pozostałą część stanowili artyści związani z Limanową. Tę wielką wartość przedsięwzięcia, które zjednoczyło całe środowisko limanowskie docenił biskup tarnowski ks. dr Andrzej Jeż. Zbigniew Wrona porównał atmosferę towarzyszącą przygotowaniom do czasów budowy kościoła limanowskiego.

Początkowo próby odbywały się sekcjami; osobno ćwiczyły chóry i zespół oraz grupy instrumentów smyczkowych i dętych. Nad całością czuwał twórca partytury Sławomir Szymocha, który również pełnił funkcję dyrygenta podczas wykonania oratorium.

Przed – ostatni rozdział

Pięcioletnia praca nad Oratorium „Droga do Ciebie” została nagrodzona w dniu jego wykonania. W piątkowy wieczór 16 września w murach stuletniej Bazyliki MBB wybrzmiała Boża Chwała. O indywidualnym odbiorze dzieła świadczą skupienie i wzruszenie wiernych, dla których oratorium stanowiło głębokie przeżycie religijne. Wartość utworu docenili również zaproszeni goście – przedstawiciele duchowieństwa i osoby ze środowiska artystycznego.

Kolejne wykonanie oratorium – ku rozczarowaniu wielu – jest mało prawdopodobne ze względu na dużą ilość zaangażowanych osób oraz ich zobowiązania artystyczne i zawodowe. *Niezwykle trudno jest spotkać się w naszej zmieniającej się rzeczywistości w jednym miejscu*

i czasie – podsumowuje humorystycznie Sławomir Szymocha. Dzieło jednak będzie żyło i dostarczało nowych wzruszeń dzięki nagraniu, zrealizowanemu na zamówienie ks. prałata dr. W. Piotrowskiego w dniu koncertu. Niedługo ukaże się także płyta. Oratorium „Droga do Ciebie” zostanie również wyemitowane przez TVP3.

Twórcy oratorium – Zbigniew Kazimierz Wrona i Sławomir Szymocha, zapytani o odczucia po zakończeniu pracy mówią o ogromnej satysfakcji i o wdzięczności wobec najbliższych i przyjaciół. Panie Alina Wrona i Elżbieta Szymocha były pierwszymi recenzentkami, pomagały pokonać chwile zwątpienia i od samego początku do ostatnich chwil zaangażowały się w powstawanie utworu. Obecnie obaj autorzy potrzebują czasu na odpoczynek. Równocześnie poeta pracuje już nad wydaniem kolejnego tomiku wierszy „Dwie Pieśni”, a kompozytor poświęca się pracy nauczycielskiej. Obaj są przekonani, że w przyszłości znów podejmą współpracę przy tworzeniu nowego dzieła...

Ilona Machowicz – Jurowicz

Serdecznie dziękuję Panom: Zbigniewowi Wronie i Sławomirowi Szymosze za udzielone informacje i miłą atmosferę podczas rozmowy.

Fotografie: Jakub Trojanowski

Redakcja wyraża podziękowanie Panu Jakubowi Trojanowskiemu za udostępnienie fotografii.



Historia dłutem i rylcem pisana

Stanisław Ociepka

*Na grobach stoją niepojęte słowa.
Brat śpi przy bracie, może wróg przy wrogu.
W głąb byś wygrzebał całe pokolenia.*

(Julian z Paradowa)

Zbliżają się listopadowe święta: Wszystkich Świętych i Święto Zmarłych (Zaduszki). Są to dni modlitwy i głębokiej zadumy. Stojąc nad grobami bliskich i znajomych nie tylko się za nich modlimy, ale także zastanawiamy nad przemijaniem i sensem naszego życia.

Warto również w te dni zadumy uzmysłwić sobie, czym jest cmentarz. Jest on przestrzenią pamięci, gdzie możemy odnaleźć historię lokalnej społeczności, wrytą dłutem i rylcem. Cmentarz jest swoistego rodzaju księgą, której kartami są poszczególne groby, pojmowane jako świadectwo ludzkiego istnienia, ludzkich dokonań. To kronika dziejów miasta, świadek przeszłości. Warto więc zwrócić uwagę na nagrobki, na których odnajdziemy epitafia upamiętniające zmarłych.

Nasza nekropolia limanowska jest jedną z najstarszych w Galicji, ma ponad 200 lat. Pisał o niej dr Józef Szymon Wroński w „Echu Limanowskim” (nr 88 z 2001 r.). Warto więc przyglądać się nagrobkom, szczególnie tym najstarszym z połowy XIX stulecia. Najczęściej znajdują się one we wschodniej części limanowskiego parafialnego cmentarza, tuż obok kaplicy Marsów, w której wnętrzu na płytach epitafijnych odnajdziemy historię ludzi wielce zasłużonych dla naszego miasta.

Szkoda tylko, iż do tej pory nie udało się wydać żadnej publikacji ani przewodnika ukazującego miejsca spoczynku zwykłych oraz zasłużonych mieszkańców Limanowej. Wiem, że staraniem ks. bp. Piotra Bednarczyka była daleko zaawansowana inwentaryzacja poszczególnych nagrobków. Dlaczego pracy nie dokończono, nie wiem. Warto więc do tematu powrócić, chociażby z tego względu, że wiele nagrobków niszczeje i informacje na nich umieszczone bezpowrotnie zostają zagubione, co powoduje zubożenie naszej wiedzy o postaciach, które już odeszły, a przecież na trwałe wpisały się w dzieje Limanowej.

Podam tylko dwa przykłady, ale jakże wymowne, tracenia przez nas współcześnie żyjących naszego dziedzictwa narodowego.

Kiedy sześć lat temu Pani Krystyna Bączkowska – Cynke, ostatnia z pięciopokoleniowej rodziny aptekarzy limanowskich, pragnąc ocalić zniszczony nagrobek rodzinny pradziadka Müllera, pochodzący z końca XIX wieku, zapytała mnie co ma uczynić, odpowiedź wydawała się prosta. Powiedziałem wówczas: *W konsultacji z administratorem cmentarza należy pomnik nagrobny odrestaurować.* Przywrócenie dawnego wyglądu pomnika stało się zadaniem trudnym i bardzo kosztownym.



Nagrobek Antoniego Müllera, jeden z najstarszych na cmentarzu limanowskim.

Okazało się, że łatwiej było postawić nowy nagrobek i tak uczyniła p. Krystyna. W taki oto sposób zniknął z naszej limanowskiej nekropolii jeden z pierwszych nagrobnych pomników. Ile takich nagrobków zniknęło w przeszłości, trudno powiedzieć. Na szczęście w tym przypadku zostały zachowane informacje o tej zasłużonej rodzinie dla Limanowej, ale umieszczone już na współcześnie wybudowanym nagrobku.

Chrońmy więc nasze dziedzictwo kulturowe!

Naszym obowiązkiem powinna być dbałość o zachowanie informacji o ludziach spoczywających na cmentarzu limanowskim i o takim postępowaniu będzie kolejny przykład. Pisał o tym dr Józef Szymon Wroński dwadzieścia lat temu w artykule „Rozwiązanie zagadki” („Mater Dolorosa”, nr 3 z 1996 r.).

Będąc na cmentarzu limanowskim wraz z ks. bp. Piotrem Bednarczykiem zastanawiali się, jak poprowadzić pracę nad monografią limanowskiej nekropolii. Rzucił im się w oczy pomnik dużych rozmiarów. Było pewne, że musi pod nim spoczywać ktoś niepospolity. Z trudem można było odczytać napisy wyryte na obelisku. Okazało się, że odnosiły się one do rodziny Jana Wójcika, inż. kolei warszawsko-terespolskiej.

O tym zdarzeniu tak wspominał Józef Szymon Wroński: (...)Wypytywałem wszystkich Wójcików, czy aby w swojej rodzinie nie mieli inż. kolei warszawsko-terespolskiej.

Zapytałem także p. Wiesława Aleksandra Wójcika – redaktora naczelnego rocznika „Wierchy”, który polecił mi napisać do niejakiego Wójcika z Warszawy, a na odchodne rzucił: Niech pan sprawdzi jeszcze u Jana Sitowskiego w jego książce: „Wspomnienia limanowskie i staro-sądeckie” wydane nakładem autora w Mordarce w 1916 roku. Wertując pospiesznie kartkę za kartką na stronie 10 znalazłem taki oto fragment: **Wójcik**



Kamienny obelisk rodziny Jana Wójcika.



Nagrobek Antoniego Müllera po zmianie w 2012 roku.



Kamienny obelisk na grobie Jana Wójcika wykonał artysta Edward Stehlik, który jest twórcą m.in. pomnika Floriana Straszewskiego na Plantach w Krakowie.

Józef zwany „Bogatym” blisko połowa Limanowej do niego należała. Miał dwie żony. Z pierwszej Maryi ze Sadowskich urodził mu się syn Michał, który zginął w 1848 r. na wojnie we Węgrzech. Z drugą żoną Teklą z Pawlikowskich miał pięcioro dzieci: dwóch synów Jana i Stanisława i trzy córki: Józefę, Anielę i Ludwikę. Syn Jego Jan, przystojny mężczyzna, blondyn, był inżynierem kolejowym w Warszawie, nie ożenił się, umarł na suchoty w domu swej siostry Anieli Rozwadowskiej, drugi syn Stanisław ukończył farmację nie mogąc ani kupić ani wydzierżawić apteki, przeniósł się do Królestwa Polskiego, tam ożenił się z Chawerlandówną. ▶

► *Córka Józefa wyszła za mąż za Michnika, kupca z Bochni. Z drugą córką, Anielą ożenił się Eugeniusz Jordan Rozwadowski, trzecia wyszła za mąż za Barcika, inspektora podatkowego w Limanowej. Obecnie z rodziny Wójcików i Rozwadowskich nie ma nikogo w Limanowej. Realność Rozwadowskich kupiła gmina i wynajęła ją kupcowi Bursztynowi, który postawił handel na bardzo dobrej stopie. Realność Barcików nabył Szyja Horowitz. Józef Wójcik urodził się w 1795 r., a zmarł w 1877. Jan Wójcik zwany „Obuszkim i Adwokatem”, trudnił się pokątnym pisarstwem.*

Ile informacji o dziejach Limanowej zawiera ten archiwalny opis.

Powracając do samego obelisku należy stwierdzić, iż poświęcony jest on Józefowi Wójcikowi i jego synowi Janowi.

Ma kształt słupa kamiennego, czworobocznego zwężającego się ku górze i ściętego piramidalnie. Posadowiony jest na płycie, zwanej plintą i ustawiony na postumencie. U podstawy trzonu posiada piękny profil wypukły, który nazywa się torusem. Przechodzi on następnie w profil wklęsły zwany trochilusem.

Obelisk otoczony jest metalowym ogrodzeniem, zaakcentowanym w narożnikach kamiennymi słupkami i o zgrabnym profilowanych „głowiczkach”.

Na tak zakomponowanym monolitycznym obelisku widnieje napis: *W Bogu Spoczywają Józef Wójcik *1796 +15 października 1877; żona Tekla z Pawlikowskich – Wójcik * 1805 + 9 stycznia 1878; syn Jan Karol Wójcik inżynier drogi żelaznej warszawsko-terespolskiej *1838 +13 stycznia 1880.*

Obecnie wyryte w kamieniu napisy są praktycznie nieczytelne, grób ma 139 lat. Warto więc zadbać i odrestaurować ten obelisk jak to zrobiono z obeliskiem na cmentarzu z I wojny światowej na Jabłońcu. Tym bardziej, że wyszedł spod ręki nie byle jakiego artysty Edwarda Stehlika, który jest m.in. twórcą pomnika Floriana Straszewskiego, stojącego na Plantach krakowskich, w rejonie Dworca Głównego, u wylotu ulicy Lubicz.

Warto zatem powrócić do wspomnianej kiedyś myśli o opracowaniu katalogu – przewodnika po cmentarzach limanowskich.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”, Stanisław Ociepka

74. rocznica likwidacji getta limanowskiego

Lukasz Połomski

18 sierpnia mieszkańcy Limanowej oddali hołd żydowskim mieszkańcom miasta, którzy zostali pomordowani w czasie II wojny światowej. Tego dnia minęła 74. rocznica likwidacji getta limanowskiego. To jedna z najtragiczniejszych dat w historii miasta.



Żydzi w obozie przejściowym w Sowlinach - 1942 rok.

Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”

Późnym popołudniem spotkaliśmy się na cmentarzu żydowskim w Limanowej. Nekropolia, dzięki uprzejmości władz miasta, została na ten dzień uporządkowana. Grupa kilku mieszkańców miasta oraz goście z Nowego Sącza i USA zgromadzili się na cmentarzu, aby w chwili

modlitewnego skupienia wspominać pomordowanych Żydów limanowskich. Wydarzenie miało szczególny charakter, bowiem odbyło się w miejscu, gdzie w czasie wojny pochowano wielu mieszkańców miasta, którzy zginęli w getcie i rozlicznych egzekucjach.

Modlitwa miała charakter międzywyznaniowy. Specjalny psalm odmówił ks. Daniel Świątek, wikariusz parafii MB Bolesnej w Limanowej. Kadisz odmówił Moniek Goldfinger, ocalony z Holocaustu, który przyleciał do nas z Nowego Jorku. W czasie wojny stracił całą rodzinę, która mieszkała w Limanowej. Po modlitwie, w krótkim i wzruszającym przemówieniu podziękował Księdzu za przybycie, a wszystkich mieszkańców miasta prosił o dalszą pamięć o pomordowanych Żydach. Uroczystość zakończył Apel Pamięci. Wspominaliśmy w nim Żydów zamordowanych w gettach, obozach pracy i zagłady, na ulicach miasta i lasach wokół Limanowej. Po odczytaniu Apelu zapaliliśmy znicze, a także zgodnie z tradycją złożyliśmy kamienie na macewie-pomniku ku czci Ofiar Holocaustu.

Druga część uroczystości odbyła się w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej. Dyrektor Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej, Artur Franczak, wygłosił interesujący referat nt. przebiegu Akcji Reinhardt, w ramach której wymordowano Żydów z Generalnego Gubernatorstwa, a więc także z Limanowej. Prelegent podzielił się ze zgromadzonymi wieloma nowymi informacjami



Na cmentarzu żydowskim w Limanowej, wspomnienia przedstawił 90-letni Moniek Goldfinger, który na rocznicę przybył z USA.



Ks. Daniel Świątek, wikariusz parafii M.B. Bolesnej w Limanowej odmówił psalm.

dotyczącymi Zagłady miejscowych Żydów. Skupił się szczególnie na przebiegu eksterminacji ludności w Bełżcu, miejscu, gdzie trafili także limanowscy Żydzi.

Najważniejszym wydarzeniem wieczoru było spotkanie z Mońkiem Goldfingerem. Jego niezwykła historia życia zaczęła się właśnie na ziemi sądeckiej, a zgromadzeni słuchali jej z wielkim zainteresowaniem.

Nasz gość urodził się w 1926 r. w Wierchomli, ale jego rodzina była związana z Limanową. Stąd pochodził dziadek i ojciec Goldfingera. Na ziemi limanowskiej mieszkała także ciotka Mońka. Nasz gość opowiedział o swoich związkach z Limanową, ale większość swojej opowieści poświęcił historii ocalenia z wojennej zawieruchy. Jego cała rodzina zginęła w czasie II wojny światowej.

W 1939 r. Moniek miał zaledwie 13 lat. Wkrótce po wkroczeniu Niemców został przesiedlony z rodziną do Starego Sącza – tam było najbliższe getto. Spotkał się z dużą życzliwością i pomocą Polaków, ale mimo takich szlachetnych postaw nie ocalała Jego rodzina. Podczas likwidacji getta rodzice Mońka zostali zastrzeżeni w lesie nad Popradem. Tragiczne wydarzenia z 17 sierpnia 1942 r. wspomina do dziś ze łzami w oczach. Sam Moniek został przesiedlony do Nowego Sącza, gdzie w czasie likwidacji getta cudem ocalał. Wędrował już do pociągów, które wywiozły Żydów do komór gazowych w Bełżcu. Nagle Niemcy zorientowali się, że będzie im brakować ludzi do pracy w obozie rożnowskim. Wybrano Goldfingera do pracy w tym miejscu. Tego dnia na łące przy Dunajcu nie zapomni do końca życia. Pięć sióstr i bracia powędrowali dalej, do pociągów. Już nigdy ich nie zobaczył.

W Rożnowie rozpoczęła się gehenna obozowa. Potem trafił do Lipia, Tarnowa i Szebni koło Jasła. Tam pracował u wysokiego rangą oficera niemieckiego. Doświadczył wielkiego głodu, a sam żywił się sucharami przeznaczonym dla psa Niemca. Kiedy oficer zorientował się, że Goldfinger żywi się karmą dla jego psa, surowo mu tego zabronił. Od tego czasu Moniek dostawał sporo „normalnego” jedzenia. Był dobrze odżywiony, co okazało się zbawienne, bowiem kolejnym przystankiem na drodze do ocalenia był obóz Auschwitz.

„Jechaliśmy jak bydło na targowicę” – wspominał transport w bydłującym wagonie. Na miejscu zastali mężczyznę w białym kitlu, który wskazywał ludziom, gdzie mają pójść: na prawo lub lewo. Kiedy lekarz zapytał go o zawód, Moniek bez wahania odparł, że jest stolarzem. „Na prawo” – wybrano go do pracy i nadano mu nowe imię: 161108. Potem dowiedział się, że lekarz nazywał się Josef Mengele.

Praca była ciężka – Moniek wykonywał wyczerpującą robotę w kopalni. Pracował bez ochraniaczy, bez zabezpieczeń. Potem, dzięki zawiązanym znajomościom, dostał pracę marzeń w tych warunkach: czyścił tory kolejowe. W ten sposób pracował przez 17 miesięcy, co pozwoliło mu przeżyć.

Wiele razy był karany batami, za niesolidną pracę. Pewnego dnia został skazany na śmierć: wywołano go podczas apelu, a esesman strzelił do niego. Ciało Mońka wrzucono na wóz z trupami. ►



Apel pomordowanych odczytał Łukasz Połomski, organizator uroczystości rocznicowych, przedstawiciel sądeckiego Sztetlu.



Znicze przed macewą zapalają: Moniek Goldfinger, Łukasz Połomski, Leopold Kucharczyk.

Jak się okazało udawał martwego, bowiem kula go drasnęła. Do rany jednak wdało się zakażenie, więc Goldfinger udał się do szpitala. Tam pod opieką Mengele i polskiego lekarza doszedł do siebie. Następnie czekał go marsz śmierci. Podczas tych tragicznych wydarzeń zginęło wiele ludzi. Moniek miał plan uciec, bowiem jeden z współwięźniów, Janek, obiecał, że na dany sygnał Goldfinger opuści maszerującą kolumnę. Niestety, marsz do Gliwic cały czas był szczelnie otoczony przez Niemców.

Ostatnim obozem okazał się Buchenwald. 10 kwietnia 1945 r., gdy Niemcy widzieli zbliżające się wojska alianckie, postanowili wymordować cały obóz. Nie zdążyli zabić Mońka – znowu cudem ocalał. Po wojnie nie miał do czego wracać w Polsce. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie założył szczęśliwą rodzinę – ożenił się i ma trzy córki. Dzieci i wnuki chcą pamiętać o historii Mońka – przyjeżdżają z nim na Sądeczynę. To dla nich trudne, wzruszające, ale bardzo potrzebne powroty.

W przyszłym roku minie 75. rocznica likwidacji getta w Limanowej. Mamy nadzieję, że ponownie spotkamy się razem. Nasi goście z USA zapowiedzieli, że jeżeli tylko zdrowie pozwoli, to przyjadą z Mońkiem na te wydarzenia. To ważna część ich tożsamości.

Organizatorem wydarzenia był Sądecki Sztetl wraz z Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.

Fotografie: Stanisław Ociepka

Wywiad, którego nie było, czyli o Marszałkowskiej 62

– Kiedy zaczęły pojawiać się w mieszkaniu na Marszałkowskiej 62, zajmowanym przez Kazimierę Żuławską i jej syna – Wawrzyńca? – tak mogłoby wyglądać pierwsze pytanie o ukrywanych przez nich lokatorów.

– Zetknęłam się z „nimi” bliżej od początku 1941 roku. Wielu znałam już dawniej, przed wojną. Ludzie ci należeli przeważnie do sfer artystycznych i intelektualnych naszego miasta. Wyróżniani, podziwiani w swoich środowiskach, nieraz zajmujący stanowiska wybitne w społeczeństwie polskim: malarze, literaci, architekci, ludzie teatru – nagle w skutek swego „niaryjskiego” pochodzenia spadli do roli tropionych zbrodniarzy. Musieli uciekać i kryć się po norach, po strychach, po najgorszych spelunach Warszawy, z rodzinami, z dziećmi. Pomoc okazywana tym prześladowanym wydawała się jeszcze jedną formą walki z okupantem i jego zniechęconymi zarządzeniami.

– Wiedzieli, jak długo mogą mieszkać? – o takim pytaniu też nie powinno się zapomnieć.

– Przychodzili, zostawali na dłużej lub krócej, przenosili się gdzie indziej, znów wracali. Jedni mieszkali stale, nie wychodząc z domu zupełnie, inni wychodzili tylko o zmierzchu, jedni przychodzili tylko na noc, drudzy nocleg mieli gdzie indziej zapewniony, a przesiadywali tylko we dnie.

– To prawda, że bywało nawet 10 osób? – Stały skład mieszkańców wynosił zwykle około 10, czasem i 15 osób. Wszystkim trzeba było – oprócz pomieszczenia – zapewnić jeszcze jakieś wyżywienie, a więc gotowało się obiady, prowadziło skromne zbiorowe gospodarstwo, robiło zakupy w mieście i porządki domowe.

Wigilia u Żuławskich

– A zapamiętana przez wielu obecnych wigilia w 1942 roku?

– Do wieczerzy zasiadło ok. 20 osób. Prócz domowych byli i zaproszeni goście, bez rodzin i domów. Zapalono choinkę,

były mowy, życzenia i łamanie się opłatkiem. Nastrój domowy, świąteczny; czuło się prawdziwe, wielkie wzruszenie. W tych warunkach, w takim otoczeniu – to wspólne zebranie, to oderwanie się myślą od ponurej rzeczywistości było naprawdę wielką pociechą i pokrzepieniem.

– Z Marszałkowskiej do siedziby Gestapo na Szucha bardzo blisko.

– Sieć naokoło mojego mieszkania zaskładała się coraz bardziej. Jakieś plotki, jakieś nieostrożne powiedzenia w maglu czy na zebraniu „ciotek” w bramie zwracały uwagę policji. Wybuchła pierwsza rewizja, potem zaczynały się one powtarzać. Często głównym motorem rewizji policji, a także różnych „kripo”¹ i „szuców”² była chęć wzbogacenia się. Zaczynało się wykupywanie, które za każdym razem pociągało za sobą coraz grubsze sumy. Trzeba je było zbierać, ściągać, bo – po większej części – nikt w domu ich nie posiadał. Zbierało się więc pieniądze na wyznaczony przez zbirów termin.

– Nie było kłopotów z zebraniem pieniędzy? – tak mogłoby wyglądać następane pytanie.

– Trzeba przyznać, że jeśli o mnie chodzi, to nie zdarzyło mi się spotkać z odmową; dawali wszyscy, kto tylko mógł, a dochodziło nieraz do poważnych sum.

Z uczciwości czy ze strachu?

– Gestapowcy brali pieniądze za milczenie?

– Sytuacja stawała się groźna, gdy sprawa trafiała do Gestapo. Rewizje Gestapo odbywały się w asyście towarzyszących im szpiclów i naganiaczy pochodzenia polskiego i żydowskiego lub Volksdeutschów, świetnie mówiących po polsku. Przed nimi nic się nie ukryło, żadne wybiegi nie pomagały. Wygrywało się, oczywiście, tylko przytomnością umysłu i spokojem, a także umiejętnością zręcznego podsunęcia myśli o wykupie. Gdy haczyk został połknięty, można już było układać się i targować. Kiedy już w grę wchodziło Gestapo, taka propozycja



Wawrzyńc Żuławski z matką - Warszawa 1940 rok.

mogła także sprawę pogorszyć, a wówczas nie było już ratunku.

– Nie powinno zabraknąć pytania o rewizje na Marszałkowskiej.

– Rewizji takich różnego typu przeżyliśmy około ośmiu – taka byłaby odpowiedź Kazimierzy Żuławskiej. I pani opowiedziałaby o obecnym w czasie rewizji granatowym policjancie. Milczał, stał w kącie pokoju wyraźnie niezadowolony ze swojej obecności. Kiedy pani Żuławska „częstowała” gestapowców banknotami i na końcu podeszła do niego – przyjął swoją „działkę”, czyli 2000 złotych. Do pamięci gospodarzy mieszkania przejdzie, bo pojawi się dzień później, aby oddać pieniądze.

Nie wspominać, kto pomagał

W drugiej części relacji, z której korzystam pojawiają się nie tylko pełne nazwiska, ale też tylko pierwsze litery nazwisk osób ukrywanych. W czasie okupacji zapominali o swoim ówczesnym nazwisku, nawet pochodzeniu. Takie zachowanie dawało szansę na życie. ▶

Po wojnie – z różnych powodów – nie chcieli wspominać, kto im pomagał, opowiadać o wigilijnej kolacji, łamaniu się opłatkiem, kolędowaniu. W domu Żuławskich zetknęli się z religią katolicką i aby przeżyć, uczyli się pacierza, bo o to na ulicy w każdej chwili mogli usłyszeć pytanie. Nie wszyscy zapominali. Stefania Dąbrowska ze Stanisławowa wspomina: „Mieszkanie rodziny Żuławskich było ostoją dla wielu nieszczęśliwych Żydów. Stale narażając życie, Żuławscy okazywali konkretną pomoc wielu. Nie da się wprost opisać, z jaką bezprzykładną stale gotowością opiekowali się, ukrywali szukających pomocy Żydów. Atmosfera w domu Żuławskich spokojna, kojąca, niebywała odwaga w groźnych chwilach dla ukrywających się tam Żydów przyczyniły się nieraz do ratowania nieszczęśliwych.”



Na bakier³ z konspiracją

Stefania Dąbrowska mogła w każdej chwili spodziewać się także pytania o to, czy na Marszałkowskiej 62, na trzecim piętrze, widziała antyniemieckie gazetki, ulotki, a może nawet ludzi z konspiracji. U Kazimierzy Żuławskiej ukrywani – nie wiedząc z kim – rozmawiali z Polakami z Armii Krajowej.

Jak w wielu polskich domach i tutaj nie przestrzegano podstawowych zasad konspiracji, które kategorycznie zabraniały – ze względów bezpieczeństwa – łączenia mieszkań, przeznaczonych na ukrywanie – nieważne: Żydów Polaków, brytyjskich lotników, zbiegłych z obozów alianckich jeńców wojennych – z miejscami zbiórek, szkolenia, magazynowania materiału dywersyjnego czy podziemnej prasy. A te wszystkie funkcje spełniało mieszkanie Kazimierzy Żuławskiej, gdyż Wa-wa – pod tym właśnie pseudonimem znany był w sformowanym w 1943 roku na terenie Obwodu V Warszawa – Mokotów II baonie szturmowym „Odwet” Armii Krajowej.

Sprawiedliwi wśród Narodów Świata

Nigdy nie rozmawiałem z Kazimierą Żuławską, ale takie właśnie zadałbym jej pytania. Odpowiedzi – być może – byłyby szersze od relacji przygotowanej 20 IX 1949 roku. W swoim archiwum złożył relację Władysław Smulski. Od niego trafiła do jednej z najważniejszych księzek, na których okładce widać nazwisko Władysława Bartoszewskiego – „Ten jest



Spotkania na Żoliborzu, 1933-1935. Wawrzyniec Żuławski stoi pierwszy z prawej (zdjęcie górne) i siedzi drugi z prawej (zdjęcie dolne).

z Ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945”. Relacja Kazimierzy Żuławskiej jest jedną z 280 w tej książce, a Autorka jedną z 265 osób ujawniających rozmia-ry i zaangażowanie Polaków dla Żydów. W tej książce, wydanej w 1969 roku, nie ma – bo być jeszcze nie mogło – informacji, że 25 grudnia 1980 izraelski Instytut Yad Vaszem nadał Kazimierze i Wawrzyńcowi Żuławskim tytuł „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”

Stanisław M. Jankowski
Fotografie: arch:
Ewy Żuławskiej-Boguckiej

¹ „Kripo” – skrót nazwy „Kriminalpolizei”, czyli Policji Kryminalnej; jako wydział V podlegała urzędowi komendanta policji bezpieczeństwa.

² „Szuce” – określenie raczej negatywne, skrót nazwy Schutzpolizei – niemieckiej policji ochronnej, pełniącej służbę w większych miastach.

³ Być z kimś na bakier – być w niezgodzie.

Korzystałem: Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna; „Ten jest z Ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945”, Kraków 1969.

Joli

W hołdzie Jolancie Kłosowskiej – wrażliwej artystce i dobremu człowiekowi

Tak wyszło, chyba prawidłowo, że z twórczością Joli Kłosowskiej zetknąłem się wcześniej niż z nią samą. Była to wystawa autorska w limanowskiej Bibliotece Miejskiej dwadzieścia parę lat temu. Do dzisiaj pamiętam, że ekspozowane wtedy były płótna z motywami w żywych, witrażowych jakby kolorach, takie bardzo z kobiecej ręki.

W każdym razie byłem pod wrażeniem i w księdze wystawy napisałem, że dobrze, że ktoś tak maluje, bo najwyższy czas pomalować świat na nowo.

A gdy poznałem już Jołę osobiście, była właśnie taka, jaką sobie na podstawie jej obrazów imaginowałem. Taką z wierszy Marii Pawlikowskiej - Jasnorzewskiej;

*Ciotki nie były piękne, nie miały nic z wrózek.
Były dzielne, szczawiowe, barchanowe żony.
Nie miały złotych włosów ani cienkich nóżek,
ani oczu złowrogich o rzęsach zdziwionych.*

*Brały serio swe dzieci, kwiaty i owoce,
mężów trzymały krótko, perfum nie lubiły,
zasypiały spokojnie w księżycowe noce,
pełne kurzej tężyzny i jaglanej siły.*

*Jedynie ciocia Jola wiotka i pachnąca
Przypominała wrózkę i paryską lalkę...*

Może wystarczy, nie chodzi przecież o wymierne podobieństwo, zbieżność imion też przypadkowa – chociaż osobiście wszystkie Jole, jakie znałem, były raczej „wiotkie” i misternej budowy.

Taka była też Jolanta Kłosowska o dziewczęcej, łagodnej twarzy, takiej ufniej w transcendentne dobro. A przecież prócz plastycznej twórczości miała na głowie dom w Męcinie, męża Zygmunta artystę z całym dobrodziejstwem inwentarza i trzy córki, później i wnuki. No i robotę nauczycielską na pełny etat w miejscowej szkole.

Z powodu wspomnianej filigranowości kojarzyła mi się wyłącznie z malarstwem. Aż raz podczas którejś mojej u Kłosowskich bytności, słyszę jak mówi do córki – Bierzemy się za tę kłodę!

Przed domem leżał nieforemny kłoc, pomyślałem, że chcą go gdzieś na bok przewalić - jak te dwie kobiety ze mną



Jolanta Kłosowska w pracowni.

Fot. Zb. Sułkowski

trzecim mizernym (Zygmunt gdzieś się zapodział) zdołają to uskutecznić?

Okazało się, że chodzi tylko (!) o robotę rzeźbiarską. I po dwóch tygodniach wyrzeźbiony fantazyjnie kłoc stał już jako filar ganku.

Jak ta zupełnie bez „jaglanej siły i kurzej tężyzny” dziewczyna tego dokonała – ale dokonała. Bo i bez tego była w swych talentach pracowita – w oprawie uroczystości szkolnych, w parafii czy przy innej społecznej potrzebie. Trudne to dla ambitnego artysty zadanie, by nie wypadło jak przeciętna chałtura, nota bene bez materialnego zysku przeważnie. Mnie zachwyciła kompozycja przestrzenna Joli – coś w rodzaju bocznego ołtarzyka (?) – w kaplicy na Paproci. Wiem też, że miała swój udział w wystroju wnętrza nowego kościoła męcińskiego. Sama świątynia w zewnętrznej bryle mało oryginalna, ma bardziej interesujące wnętrze - do czego, jak sądzę, przyczyniła się i ręka Joli.

Dzielnie przeciwstawiała się wrednej, podstępnej chorobie, starając się przy

tym zachować czynny tryb życia. Trwało to długo i znajomym wydawało się już, że Jola w walce o życie zwyciężyła.

Niestety.

Cóż może człowiek wobec takiego nieszczęścia? Może jedynie złożyć Zygmuntowi Kłosowskiemu i całej Rodzinie wyrazy najgłębszego współczucia. I mieć świadomość, że spod ręki artystki nie wyjdzie już żaden urzekający kolorystyką portret dziecka. Temat wdzięczny, ale jakże przy tym trudny.

Na pogrzeb 7 września b.r. ściągnęły tłumy. Piękna pogoda stanowiła dysonans nastroju, który, mogło się zdawać, chciały po swojemu wyartykułować wrony - jak najemne płaczki z „Greka Zorby” obsiadły poblizsze cmentarza. Ale wtedy pojawił się duży jastrząb i czarne towarzystwo gdzieś znikło. Jastrząb po chwili odleciał, ale natychmiast zastąpiły go trzy myszołowy, które krążyły na niebie aż do końca żałobnej uroczystości.

Nie powiem, że zdarzenie to miało wymiar znaczący. Ale było.

Zbigniew Sułkowski



Pamiętkowe zdjęcie Artura Andrusa z chórami limanowskimi, po zakończonych nagraniach.

Stanisław Ociepka

Z Andrussem po Limanowej

W ostatnich dnia sierpnia do Limanowej zawitała ekipa realizująca w formie reportażu film o naszym mieście. Architektami filmu są Tomasz Paulukiewicz, reżyser i Artur Andrus, gospodarz, obaj związani z Podkarpaciem.

Film o Limanowej jest kolejnym niekonwencjonalnym sposobem ukazania przez Tomasza Paulukiewicza miasta dawnej Galicji.

W jednym z wywiadów Paulukiewicz powiedział: „W naszych filmach nie tylko chodzi o pokazanie samego miejsca, ile ludzi, którzy je tworzą (...).”

W pierwszej serii pokazane zostały miasta Podkarpacia, były to kolejno: Tarnobrzeg, Przemyśl, Mielec, Krosno i Rzeszów. W następnej serii ukazane zostaną miasta Małopolski: Stary Sącz, Limanowa, Sucha Beskidzka, Kraków.

Inspiracją dla filmów jest wydany niemal 100 lat temu „Ilustrowany przewodnik po Galicji” dr. Mieczysława Orłowicza. Publikacja ta jest pierwszym polskim przewodnikiem po Galicji. Przewodnik został opracowany przed I wojną światową, zaś wydany po wojnie. Treść oparta jest na informacjach zebranych w trakcie wycieczek organizowanych przez Akademicki Klub Turystyczny ze Lwowa.

Co możemy przeczytać w tym przewodniku na stronie 396 pod hasłem **Limanowa**: „(405 m n.m.) z dworca do rynku 1 kilometr – wózek 80 halerzy. Hotel pod Białym Orłem, restauracja Bursztyna na rynku. 2000 mieszkańców (900 Żydów). Nowy kościół projektu Mączeńskiego. Ogromna rafineria nafty francuskiej sp. akc. Wycieczki na Mordarkę (785 m) i Sałasz (909 m).

Powracając do filmu o Limanowej. Gospodarzem projektu jest Artur Andrus popularny satyryk, dziennikarz, także poeta, autor książek i tekstów piosenek. Telewizowie znają go również z roli konferansjera imprez, najczęściej



Artur Andrus na limanowskim rynku.

kabaretowych oraz komentatora programu „Szkoła kontaktowa” w TVN 24.

W filmie tym Artur Andrus wcielił się w rolę przewodnika, rozpoczynając podróż po Limanowej narracją z „Przewodnika po Galicji” dr. M. Orłowicza. Opowiadając o historii miasta, odkrywa również współczesne jego oblicze. W rozmowie z mieszkańcami odnajduje wiele niecodziennych, często zabawnych sytuacji, które stały się inspiracją do napisania piosenki kończącej limanowski odcinek serii.

W Limanowej nagrania realizowane były przez dwa dni (28 i 29 sierpnia). Pierwsze zdjęcia wykonane były u podnóża Jubileuszowego Krzyża pod Miejską Górą. Nagranie rozpoczyna się hejnałem miasta „Echo trombity” w wykonaniu członków zespołu regionalnego „Limanowianie” na pasterskich trombitach oraz zaproszeniem do obejrzenia filmu o urokliwym mieście Limanowa leżącym w centrum Beskidu Wyspowego. Ukazane jest także piękno krajobrazowe wokół miasta z platformy widokowej Krzyża.

W kolejnym dniu autorzy filmu „Z Andrusiem po Galicji” pokazali tradycje nowoczesnego muzykowania. Pomimo deszczu i pochmurnej pogody na limanowskim rynku zgromadziły się limanowskie chóry: Chór Chłopięcy, Męski, Canticum Iubilaeum, aby przy wsparciu Jadwigi Postrożnej – limanowianki z urodzenia – doktor sztuki w dziedzinie wokalistyki, solistki Opery Wrocławskiej zaśpiewać wspólnie piosenkę o Limanowej,

„Miasto Limanowa oraz okolica, tych, co przybywają pięknem swym zachwyca (...).”

Sam Artur Andrus z dozą humoru zapraszał do wspólnego śpiewu pod parasolami.

Następnie była promocja gry na instrumentach pasterskich w wykonaniu zespołu „Limanowianie”. Nagranie odbyło się przy limanowskiej Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej produkującej zdrowy i ekologiczny nabiał.

Tego dnia ekipa filmowców zawitała również do Regionalnego Muzeum Ziemi Limanowskiej, aby przeprowadzić wywiad z artystą rzeźbiarzem Aleksandrem Majerskim. Spotkanie odbyło się w Jego pracowni, gdzie artysta opowiadał o swojej twórczości, a także wspominał o tzw. „Złotej Linii”, czyli międzynarodowej grupie artystów,



W deszczowej pogodzie na rynku zgromadziły się limanowskie chóry, aby przy wsparciu Jadwigi Postrożnej zaśpiewać piosenkę o Limanowej.



Spotkanie Artura Andrusa z tajemniczą postacią, która pojawia się w kadrach filmu. Indianin to Krzysztof Kolba, znany w Limanowej miłośnik kultury indiańskiej.

której jest współtwórcą. Zainteresowano się także „Izbą Aptekarską” czteropokoleniowej rodziny farmaceutów limanowskich. Jacek Drożdżak, kolekcjoner pocztówek, zaprezentował w Miejskiej Bibliotece widokówki Limanowej z początku ubiegłego stulecia, których skany wykonane przez filmowców będą prezentowane w kadrach filmu.

Atrakcyjną sceną przed budynkiem muzeum było spotkanie Artura Andrusa z Indianinem, w postać którego wcielił się Krzysztof Kolba znany w Limanowej hobbista kultury indiańskiej. Zaprosił on Artura Andrusa wraz z filmowcami na spotkanie w Tipi.

Przedstawienie w filmie tej postaci jest pomysłem reżysera Tomasza Paulukiewicza. Chciał on ukazać prężność działania tutejszych mieszkańców i udowodnić, jak zainteresowanie może przekształcić się w biznes. To właśnie ta tajemnicza postać pojawia się prawie w każdym epizodzie filmu.

Film zostaje zakończony piosenką o Limanowej w wykonaniu Artura Andrusa z zespołem.

**Fotografie: Aleksander Majerski,
Stanisław Ociepka**



Cel wędrowki już widać, ale czekającą nas drogę trudno ocenić

Andrzej Kulig

DEMAWEND W KRAJU DOBRYCH ZMIAN **cz. I**



Na szczycie Demawendu – w oparach wulkanicznych gazów, od lewej: autor, Leszek, Barbara i Masoud

Demawend (wys. 5610 m n.p.m.) – wulkan drzemiący w górach Elburs, najwyższy szczyt Iranu, położony około 70 km na północny wschód od Teheranu. Wulkan zbudowany głównie z kwasowych law andezytowych. Duży kąt nachylenia stoków (stratowulkan) – ok. 30-40°. U podnóża występują licznie wody siarczanowe ¹.



W centrum bazy nr 2 na wysokości 3100 m n.p.m. czeka nas nocleg w sali przylegającej do meczetu Al Zaman

Droga do Iranu

Tegoroczna wyprawa na najwyższy szczyt Iranu – Demawend (pers. Damavand) jest bezpośrednią konsekwencją wyprawy w 2015 r. na najwyższy szczyt Turcji – Ararat (5137 m n.p.m.) ^{2 3}. Pierwszym sojusznikiem w tych planach okazała się Ewa, która z uwagi na realizację planu zdobycia Wielkiej Korony Tatr i Korony Europy jest bardzo aktywna w górach. W styczniu bieżącego roku przygotowywałem się do marcowego wyjazdu na safarii w Tanzanii i wypoczynek na Zanzibarze, zorganizowanego z okazji 10-lecia wyprawy na Kilimandżaro. W Afryce powrócił temat Demawendu, ale ostateczną decyzję o rozpoczęciu przygotowań Leszek podjął dopiero na początku kwietnia br. – ruszyło formowanie grupy, studiowanie literatury, gromadzenie sprzętu i ubioru oraz na końcu spotkanie przedwyprawowe. W ramach przygotowań sięgam po książkę Ryszarda Kapuścińskiego pod tytułem „Szachinszach” ⁴. Wybór dostępnych przewodników nie jest duży, w zasadzie



Schronisko Bargah w bazie nr 3 na południowym zboczu Demawendu



Grupa wspinaczy atakujących szczyt – powyżej 5000 m n.p.m.

są tylko dwa: Szczepana Lemańczyka⁵ i Zbigniewa Mielczarka⁶. Dopiero po powrocie do Polski trafią do moich rąk inne książki dotyczące Iranu^{7,8}. Przygotowania przebiegają w tradycyjnej formie, ale wyprawa zapowiada się nietypowo z kilku powodów. Islamska Republika Iranu to kraj wyznaniowy – muzułmański, w którym sprzedaż i spożywanie alkoholu są nielegalne. Z tego powodu musimy zrezygnować z tradycyjnych środków „dezynfekcyjnych”: Jack’a Daniels’a, pigwówki i innych podobnych medykamentów, mimo że żyjący 1000 lat temu perski lekarz, uczyony i filozof Awicenna (Abu Ali Ibn Sina) nie miałby nic przeciwko temu⁹. Z przewodników i artykułów wynika, że w Iranie nie ma wielu innych rzeczy (np. wolnego internetu, nocnych rozrywek, kart kredytowych, sedesów, papieru toaletowego...), tak więc z zapalem sięgam po poradnik „Sztuka minimalizmu w podróży”¹⁰. Ale, jak uczy doświadczenie, dobrze niektóre informacje zweryfikować osobiście podczas podróży. W tym przypadku nie wszystkie się potwierdzają.

W piątek 15 lipca 2016 roku ośmiu uczestników wyprawy spotyka się na lotnisku im. F. Chopina w Warszawie punktualnie o 5³⁰ i odprawiamy się do Wiednia. Ponieważ nasz samolot już na starcie „złapał” opóźnienie, na lotnisku w Wiedniu gramy scenę jak z filmu „Kevin sam w Nowym Jorku”. Biegiem zmieniamy terminale. Po raz pierwszy jako ostatni wsiadam do samolotu, który ma nas zawieźć do Teheranu. W samolocie dołączamy do czterech pozostałych uczestników wyprawy, którzy do Austrii przylecieli z Krakowa. Na lotnisku w stolicy Iranu załatwiamy wizy i okazuje się, że pierwszy etap podróży kończy się dobrze.

W stronę Demawendu

Salam alejkum – na lotnisku spotykamy Masouda, który jest organizatorem naszej wyprawy w Iranie i naszym przewodnikiem – „guidem”. Z bagażami, które także szczęśliwie doleciały, wsiadamy do minibusa i jedziemy do miejscowości Reyneh, liczonej jako baza nr 1 na wys. 2 tys. m n.p.m. W motelu o nazwie Damavand, a właściwie w domu Masouda mamy pierwszy nocleg na ziemi irańskiej. Podczas kolacji w stylu muzułmańskim („stołujemy” się na podłodze) przypomina mi się „powitalna” herbata na Saharze, nazywana „marokańską whiskey” w arabskiej oprawie¹¹. Nakarmieni rozkładamy swoje materace i śpiwory. Idziemy spać, bo czeka nas kilka emocjonujących dni i wydarzeń.

Następnego dnia rano przepakowujemy bagaże, dzieląc je na trzy części: tę na wędrowkę, tę do transportu samochodem lub przez muły do schroniska i tę do pozostawienia u Masouda w domu. Po śniadaniu jedziemy samochodem typu „przewóz ludzi luzem” – czyli na pace, w kierunku Demawendu. Gdy kończy się asfalt, a droga przekształca się w gruntową, wyruszamy na pieszą wędrowkę do bazy nr 2. Na tym odcinku nasze bagaże są transportowane samochodem. Wędrowka „przeddeptami” wśród krzewów, ostów i nielicznych traw, mimo że szybko nabieramy wysokości, jest dość łatwa. Widać, że zbocze góry jest suche, półpustynne. Do niewielkiego meczetu, który stanowi centrum bazy II Base Camp na wysokości 3100 m n.p.m., docieramy po ok. dwóch godzinach wędrowki. Stąd stożek Demawendu nie prezentuje się zbyt okazale. Szczyt jest jakieś 2,5 km wyżej i jest oddalony o kilkanaście godzin marszu. Rozpakowujemy

część bagaży i rozlokowujemy się w sali przylegającej bezpośrednio do meczetu. Masoud częstuje nas herbatą i zapowiada kolację na godz. 17⁰⁰. Jest ciepło. U Iranki, prowadzącej niewielki kiosk, kupujemy pierwsze koszulki – T-shirty i zapoznajemy się z miejscową walutą. A trzeba dodać, że nie jest to proste. Oficjalną walutą jest rial (1 euro ~ 38500 IRR), ale dodatkowo w obiegu są tomany (1 t = 10 IRR). Natomiast Chomeinich (równowartość 1000 t ~ 1 zł) na szczęście nie spotkałem. Ciekawostką jest fakt, że na odwrotnej stronie banknotu o nominale 10 000 riali jest przedstawiony Demawend. Jak widać, w Iranie szybko można zostać milionerem. Zanim przystąpi się do jakichkolwiek negocjacji cenowych, dobrze jest ustalić walutę, której chce się używać lub można żonglować wszystkimi walutami (IRR, t, €, \$) równocześnie, tylko do końca nie wiadomo, kto na tym dobrze wyjdzie. Dotychczasowa wędrowka, dość wysoka temperatura i perspektywa dalszej wspinaczki działała bardzo mobilizująco, więc po kolacji, ok. 21⁰⁰ kładziemy się spać, pamiętając, że w Polsce jest dopiero 18³⁰.

W niedzielę wstajemy powoli. Pobudka była ustalona na 6³⁰. Na szlak wychodzimy po godzinie ósmej. Ja praktycznie od początku spowalniając i wędruję solo. Mimo to mijam grupy wspinających się oraz już schodzących. Obserwuję wspaniałe wysokogórskie krajobrazy. Przedemną masyw Demawendu, z tyłu zamieszkałe rozległe doliny i pasmo ponad czterotysięcznych gór. Pogoda fantastyczna. Słonecznie, bez deszczu i silnego wiatru. Po kilku godzinach marszu mija mnie Masoud, poruszający się na mule. Za nim jedzie, w pewnym oddaleniu, pomocnik z trzema mułami, niosącymi nasze bagaże. ▶

► Do schroniska docieram po około 5 godzinach wędrówki. Czeka na mnie kubek gorącej herbaty i możliwość odpoczynku przed wieczornym posiłkiem, czyli do godziny 16⁰⁰. Jesteśmy na wysokości 4 200 m n.p.m. W schronisku gwarno, bo pełnia sezonu. Kwaterujemy w dwupoziomowej sali z dwupoziomowymi łózkami – dla 60 wędrowców. Wśród nich przybysze z różnych krajów. Masoud opiekuje się też grupą Węgrów. Sporo jest Irańczyków, którzy w przeciwieństwie do Turków licznie chodzą po górach.

Na szczycie wulkanu

W poniedziałek 18 lipca przystępujemy do ataku szczytowego. Dzień rozpoczynamy wcześniej – wstajemy o godzinie czwartej rano i po niewielkim śniadaniu, o godz. 5⁰⁰ wyruszamy na szlak. Początkowo poruszamy się w ciemności z włączonymi czołówkami, w formie tzw. tramwaju, czyli jeden za drugim, mimo że nie jesteśmy powiązani linami. Po około godzinie lub półtorej nasz „tramwaj” rwie się. Część grupy idzie szybciej, część wolniej. Korzystając z wcześniejszych doświadczeń, np. podczas zdobywania Araratu, stosuję się do zasady, że wielkie szczyty zdobywa się małymi krokami. Po drodze mijam pojedynczych wędrowców, w tym wielu Irańczyków i Iranki. Będąc na ostatniej prostej, pod szczytem spotykam Mirka, Renatę i Monikę, którzy schodzą ze szczytu. Mimo ich zaskakującej sugestii aby zawracać, kontynuuję wspinaczkę. Podczas wejścia, przekraczając granicę 5 000 m n.p.m. napotyka się wyziewy wulkaniczne w postaci fumaroli i solfatar, którym towarzyszy zapach siarki. Na szczyt, w pobliże dymiącego otworu wulkanu, dochodzę w samo południe. Demawend uplasował się na trzecim miejscu wśród „moich” szczytów, po Aconcagule i Elbrusie. Robię zdjęcia, zbieram do kolekcji kawałki wulkanicznej siarki, której liczne osady „budują” szczyt prawdopodobnie aktywnego najwyższego wulkanu w Azji. Prawdopodobnie, ponieważ nie zachowały się żadne dokumentacje świadczące o jego erupcji, a wnioskuje się to na podstawie gazów wydobywających się w rejonie szczytu. To co u podnóża wydaje się być chmurą, w rzeczywistości jest obłokiem powstającym w wyniku emisji gazów wulkanicznych. Na koniec robimy pamiątkowe zdjęcie z Masoudem, Barbarą i Leszkiem. Schodząc, kierujemy się nie na szlak, którym podchodziliśmy, ale na podszczytowe

piargi, które powstały w wyniku procesów erozyjnych – wietrzenia fizycznego. Jest to droga trudna do wspinaczki, ale i męcząca podczas schodzenia – wymaga uwagi, aby nie pośliznąć się na sypkim kamienistym podłożu. W połowie drogi Leszek i Barbara postanawiają „schodzić” po płacie śniegowym. Powoli schodzę sam. Po kolejnej 1/3 drogi widzę w dole część naszej grupy, która zatrzymała się przy niewielkim strumieniu. Rozglądam się, przekonany, że schodzę jako ostatni. Nagle stwierdzam, że za mną, na skraju śnieżnego płata pozostał Leszek z Barbarą. Z ich zachowania wnioskuję, że mają problemy. Nie uruchamiając specjalnie wyobraźni, przyspieszam w celu wezwania pomocy. Z reporterskiego obowiązku należy stwierdzić, że w górach zdarzają się wypadki. Okazuje się, że Barbara uderzyła w skalny występ, upadając rozcięła łuk brwiowy, skaleczyła udo. Jest mocno pobijana, silnie krwawi, lewe oko wygląda niepokojąco źle. Nasz serwis medyczny jest dobry, lecz w wysokich górach Elburs nie znaleźliśmy mumio, cudownego biostymulatora leczącego rany. W grupie są dwie lekarki: Monika i Ewa. Trzecią jest Barbara, która w obecnej sytuacji może przynajmniej liczyć na pierwszą pomoc. Ale jej stan wymaga natychmiastowego transportu do szpitala. Początkowe rozważania na temat wezwania śmigłowca ratunkowego zostają ograniczone do zjazdu, najpierw na mule, a następnie samochodem terenowym. Po opanowaniu emocji związanych z wypadkiem większość naszej grupy postanawia kontynuować schodzenie do bazy przy meczecie. Ja z Zosią zostaję i udaję się na spotkanie z Musą Saltikiem, kurdyjskim przewodnikiem z Araratu, który na Demawend przyprowadził 30-osobową grupę młodych Polaków, w większości chorych na cukrzycę. Więcej na ten temat można przeczytać na stronie: <http://krakow.wyborcza.pl/krakow/1,44425,20452420,udowodnili-ze-mozna-cukrzycy-wspielisie-5610-m-n-p-m.html>.

W kierunku irańskiej kultury

Pobudkę o 6³⁰ zapewniają ci, którzy wychodzą na trekking aklimatyzacyjny. Ci, którzy poszli na szczyt, zrobili raban dwie godziny wcześniej. Pakuję bagaże i razem z Zosią schodzę do kantyny na śniadanie. Po wyjściu ze schroniska zostawiamy główne bagaże przy

schodach w nadziei, że zabierze je nasz mulnik, i ruszamy w dół. Oto kwintesencja mojego „resetu” w górach: szczyt, który można podziwiać, oglądając się za siebie – zdobyty, wspaniałe widoki przed nami, indywidualne tempo wędrówki, z możliwością fotografowania oraz kontemplacji lotu ptaków i... śmigłowca. Po dotarciu do obozu drugiego czekamy na samochód terenowy, który zwiezie nas do Reyneh. Tam, w domu Masouda wypoczywamy na salonach. Jedni zajęci są porządkowaniem wysokogórskiego bagażu, inni lekturą, a jeszcze inni drzemią. Wszyscy nasłuchują wieści ze szpitala, gdzie Barbara została już zoperowana. Późnym popołudniem udajemy się do sąsiedniej miejscowości na kąpiel w wodach termalnych. Doświadczenie niczym z tureckiego Diyadin – z trudem znoszę gorące kąpiele, mimo że dobre dla zmęczonego ciała.

Po wysokogórskich wędrówkach i krótkotrwałym „złapaniu oddechu” planujemy przystąpić do eksploracji irańskiego krajobrazu kulturowego i zabytków oraz poznać współczesne oblicze państwa wyznaniowego.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru A. Kuliga
Ischia (Włochy), wrzesień 2016 r.
c.d.n.

Część II – Zabytki w kraju dobrych zmian
w następnym numerze.

¹ wikipedia.org/wiki/Demawend

² Kulig A.: *A jednak Ararat...* „EL” nr 256-257, r. XXIV, s. 30-33 i 37, styczeń-luty 2016 r.

³ <https://www.facebook.com/notes/wwwararattrekpl/a-jednak-ararat/1206414389388575>

⁴ Kapuściński R.: *Szachinszach*, Czytelnik. Warszawa, 1996 r.

⁵ Lemańczyk Sz.: *Iran*. Wydawnictwo Sorus. Wydanie III. Poznań, 2016 r.

⁶ Mielczarek Zb.: *Iran nowoczesnych ajatollahów*. Przewodnik. Sorus. Poznań, 2016 r.

⁷ Kęskrawiec M.: *Czwarty pożar Teheranu*. Wydawnictwo W.A.B. Warszawa, 2010 r.

⁸ Navai R.: *Miasto kłamstw. Cała prawda o Teheranie*. Prószyński i S-ka. Warszawa, 2014 r.

⁹ Orzech A.: *Iran – uroczą schizofrenia*. Traveler National Geographic. Nr 01 (86), s. 58-63, styczeń 2015 r.

¹⁰ Clelland M.: *Sztuka minimalizmu w podróży. 153 genialne porady, jak się pakować, aby plecak był superlekki*. Wydawnictwo Sklepu Podróżnika. Warszawa, 2016 r.

¹¹ Kulig A.: *Maroko 2010 – Sahara*. „EL” nr 196-197, r. XIX, s. 32-33 i 36-37, styczeń-luty 2011 r.



Zbocze Demawendu określanego jako perła Iranu, na którym rozgrywane są walki w komputerowej grze wojennej Battlefield 3.
Na zboczu Demawendu (wys. 3300 – 3600 m n.p.m.) – wśród kamieni i suchych traw piękne maki



Podczas wyprawy pomagają nam Persowie i muły



Nawietrzna strona krateru dymiącego i drzemiącego wulkanu



Wśród skał, płatów śniegu i wszędobylskiej siarki, od lewej: Barbara, autor i Leszek



Po wędrowce – siedząc na perskich dywanach „po turecku” i jak komu wygodniej, ukradkiem spoglądamy na sułtańskie fotele i sofy





**50. ROCZNICA KORONACJI
CUDOWNEJ FIGURY
MATKI BOSKIEJ BOLESNEJ
W LIMANOWEJ
1966-2016**



Fotografie: Stanisław Ociepka





ELECTRICAL[®]

**Innowacyjność
Bezpieczeństwo
Jakość**

„„ Już 20 lat

www.electrical.pl tel. 18 33 70 485

Co nam zostało z tych lat

Wszystko płynie, wszystko ginie /I wiele Was czeka./ Dość dobrego, dość i złego,/ Czas szybko ucieka./ Czas i przestrzeń już nas dzieli, /Więcej dzielić będą./ Smutek, radość, burza, cisza/ Kolejno opręda/ (...)

Takie słowa zamieściła we wstępie listu do nas absolwentów Liceum Ogólnokształcącego w czerwcu 1951 r. P. Profesor Eugenia Naturska w odpowiedzi na naszą zbiorową korespondencję, w której dziękowaliśmy Jej za pracę nad naszymi umysłami, za kształcenie poprawności językowej, umiejętności analizy i krytycznego podejścia do dzieł literackich – słowem za wszystko,

co pozwoliło stworzyć podstawy do poznania najbardziej wartościowych pozycji polskiej i obcej literatury.

Pani Profesor na rok przed naszą maturą opuściła Limanową i to była niepowetowana strata dla uczniów. Jej następca mimo starań nie osiągnął już takich wyników, bo zabrakło umiejętności, zacięcia do ciężkiej pedagogicznej pracy i po roku odszedł z naszej szkoły,

kończąc swój mały epizod w szkolnictwie. Mimo dużych wymagań, jakie nam stawiała, żalowaliśmy bardzo Pani Profesor, bo była mistrzem w swoim zawodzie, co doceniliśmy dopiero, gdy Jej zabrakło. Dopiero później zrozumieliśmy Jej racje. Odeszła z naszego miasta i podjęła pracę w Łodzi, bo to duże akademickie miasto dawało Jej inne możliwości. Otrzymała mieszkanie, którego nasze niewielkie miasto nie potrafiło zapewnić, a poza tym mogła ukończyć rozpoczęty jeszcze przed wojną w Uniwersytecie Lwowskim przewód doktorski.

Mimo wielu walorów Łodzi Jej serce lgnęło zawsze do nas.

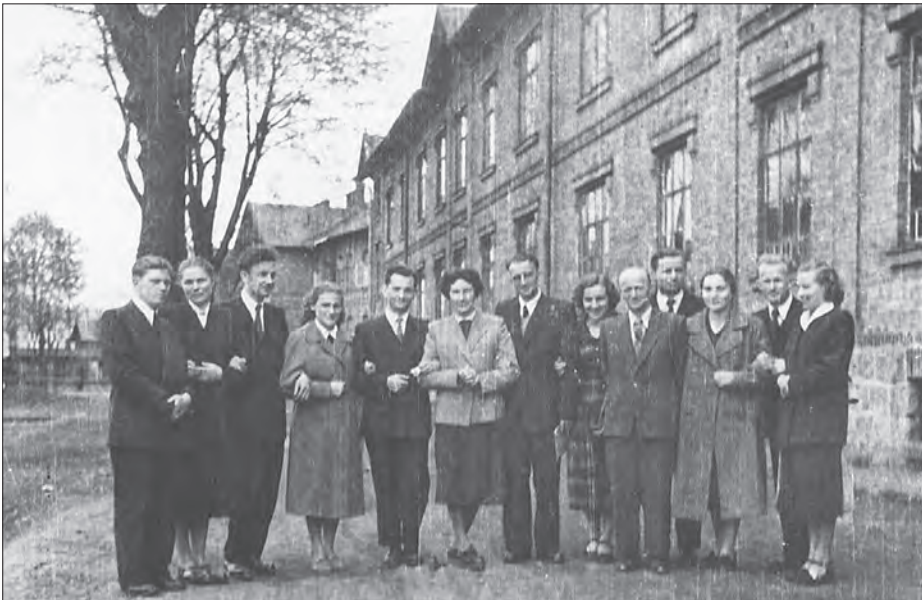
Pracowała w Limanowej tylko 5 lat, ale często ją odwiedzała. Gdy tylko stan zdrowia na to pozwalał, uczestniczyła w koleżeńskich zjazdach naszej klasy i tutaj spoczęła razem z ojcem pod Siwym Brzegiem. My absolwenci Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej z 1951 roku byliśmy zespołem wyjątkowym, nietuzinkowym.

Owa wyjątkowość polegała na tym, że rozpoczęliśmy naukę w nowo otwartej szkole średniej we wrześniu 1947 r. w wieku 12 – 15 lat. Byliśmy zatem pierwszym rocznikiem, który kontynuował edukację bez wojennych opóźnień, bo wielka zawierucha dziejowa była już za nami.

Wśród dorosłych ludzi zdobywających naukę w trybie przyspieszonym, ludzi mających za sobą bagaż trudnych doświadczeń, często partyzancką przeszłość, pracę u okupantów, czasem już na utrzymaniu rodziny, czuliśmy się „mali”, nic nie znaczący. Oni, dorośli uczniowie, często nam przypominali o tym, kim jesteśmy i gdzie nasze miejsce.

Nie było to miłe. Na nas niedorostków, starsi często dwukrotnie koledzy patrzyli z góry. Dobrze, że mieliśmy sprzymierzeńców w profesorach, którzy nas bronili, dodawali otuchy twierdząc, że to tylko stan przejściowy. W końcu do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Przez ten bardzo trudny okres pomógł nam przejść p. profesor Józef Staniszewski, który objął wychowawstwo naszej klasy w 1947 r. i doprowadził nas do matury. „Staruchy” wnet skończyły swoje „uniwersytety”, zostaliśmy my – zwyczajna



Pierwszy zjazd w 1956 roku. U góry: Na tle budynku szkoły w Sowlinach. Na dole: Po Mszy św.

► młodzież ze zwyczajnymi problemami. Byliśmy pierwszymi wychowanekami Profesora, który przed wojną był studentem Uniwersytetu Wileńskiego, a potem pełnił funkcję asystenta astronomii w tej uczelni i miał do czynienia z dorosłą młodzieżą świadomą swoich wyborów, podczas gdy my staliśmy dopiero u progu życia.

Tak więc ON – Profesor „uczył się być wychowawcą”, a my staraliśmy się sprostać jego wymaganiom, zrozumieć i zapamiętać wskazówki oraz podporządkować prawie wojskowym rygorom.

Przygotowanie do dorosłości

W owych powojennych czasach nie było „godzin wychowawczych”, czasu na rozwiązywanie różnego rodzaju problemów osobistych uczniów, kształtowanie postaw, wymianę zdań na tematy nurtujące młodzież, wszystko sprowadzało się do realizacji bardzo przeładowanego programu, co było utrudnione ze względu na brak podręczników, pomocy naukowych i lektur.

Nasz wychowawca nie mógł tracić cennego czasu przeznaczanego na lekcjach danego przedmiotu na załatwianie spraw wychowawczych, dlatego czynił to na przerwach. Były to, zwłaszcza w czasie zimy, słynne spotkania „przy piecu”, kiedy to mądrymi maksymami rozpałał naszą ciekawość. Wtedy rozwiązywały się nasze języki, bo prawie o wszystko można było zapytać, wiele powiedzieć, nie martwiąc się o negatywne oceny. Warto zaznaczyć, że od początku z Profesorem bardziej byli związani chłopcy, zwłaszcza z „ciągotami matematycznymi”. To oni stworzyli pierwsze w historii naszej szkoły „kółko matematyczne”. Miało to miejsce jesienią 1947 r., czyli wkrótce po objęciu wychowawstwa przez naszego STASIA. Profesor prowadził je naturalnie społecznie. Jego członkowie spotykali się z Wychowawcą w każdym tygodniu, a czas spotkania był nieograniczony.

Wiosną i jesienią rozważania i polemiki miały miejsce na wycieczkach, w czasie których Profesor uczył nas na piękno krajobrazu, poszanowanie tego co bliskie i rodzime, a także rolę przyjaźni i pomoc potrzebującym. Czas biegł szybko, za szybko. Chłopcom „sypnął się wąs”, dziewczęta stały się powabnymi kobietami i nagle My niedawne „niedorostki” staliśmy się „najstarszą klasą” w Liceum.



Zofia Wiśniewska (Wójtowicz) - rocznik matury 1951 przekazała zgromadzone przez lata pamiątki Annie Mruk - dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Orkana w Limanowej.

Nauczeni smutnym doświadczeniem nie odgrywaliśmy się na młodszych kolegach. Nie mieliśmy na to chęci i czasu. Nasz zespół klasowy prawie w każdym roku był poddawany różnym zmianom programowym i strukturalnym. W 1949 r. staliśmy się 11 – letnią szkołą średnią i tak to odtąd trwało przez kilkanaście lat. Co jakiś czas przyjeżdżali delegaci z różnych zakładów pracy, namawiając nas do przejścia do różnych szkół np. na Śląsku, co zazwyczaj źle się kończyło, bo po przyjeździe do wybranej miejscowości okazało się, że żadnych wolnych miejsc już tam nie ma.

Pół roku przed maturą dla chętnych zorganizowano kurs pedagogiczny przygotowujący do pracy w szkolnictwie, nie informując o tym, że jego ukończenie będzie skutkowało nakazem pracy obowiązującym przez 3 lata w placówce wybranej przez władze oświatowe. Najczęściej były to Bieszczady lub Ziemia Odzyskana. Ci, którzy go ukończyli, przez 3 lata nie mogli podjąć studiów o innym profilu.

Matura

W ostatniej klasie liceum Wychowawca zaczął nas psychicznie przygotowywać do matury. Na lekcjach bezwzględnie nie pozwalał odpisywać czy podpowiadać. Wpajał nam przekonanie, że musimy tak przygotować się do egzaminu dojrzałości, by samodzielnie napisać prace, bo, jak twierdził: „Matura – to najwyższy czas, aby dorastający orzeł nauczył się latać i zdobywać pożywienie, bo dokarmianie

kiedyś się skończy i ptak zginie z głodu”.

Trudno powiedzieć jak tam było w czasie naszego materialnego egzaminu. Najważniejsze, że wszyscy go złożyli.

Do matury przystąpił znacznie zmieniony skład. Kilka osób zrezygnowało z nauki w niższych klasach. Niektórzy przeszli do innych placówek dających zawód (Technikum Rolnicze w Łososinie Górnej, Liceum Pedagogiczne, technika górnicze, szkoła przetwórcza w Tymbarku i in.). Wierni limanowskiemu Liceum dotrwali do matury.

Po ceremonii rozdania świadectw pozostaliśmy jeszcze długo z Wychowawcą. Rozmawialiśmy na różne tematy, wiele o przyjaźni, utrzymywaniu kontaktów, które zbliżają i uszlachetniają ludzi.

Profesor z jednej strony cieszył się, że zakończyliśmy jeden etap życia, z drugiej było mu żal, że już się nie spotkamy. Myśleliśmy o tym wcześniej, snuliśmy plany, ale bojąc się zapeszyć nie mówiliśmy o nich publicznie.

Dopiero na tym ostatnim spotkaniu przewodniczący klasowy Józef Paruch (późniejszy pracownik naukowy Biblioteki Jagiellońskiej) w imieniu kolegów ogłosił postanowienie o koleżeńskich zjazdach, które będziemy odbywali co 5 lat i prosił, by Pan Profesor w nich uczestniczył.

Skrzynką kontaktową będzie zawsze on – Józek. Potem podał przyszły adres, pod który mamy przysyłać aktualne zmiany adresu i najważniejsze wiadomości o sobie. Jego zastępca Mieczysław Sułkowski rodzinie związany z Limanową

będzie go wspierał i pomagał prowadzić korespondencję.

Profesor był ogromnie zadowolony, bo nie przypuszczał, że jego wychowanek tak dokładnie wszystko obmyśla. Był bardzo wzruszony.

Na zakończenie pożegnał się z każdym osobiście, a potem uczestnicy kółka matematycznego odprowadzili go do domu, by jeszcze „po męsku” porozmawiać.

Koleżeńskie zjazdy

Po maturze niektórzy rozpoczęli pracę, zdecydowana większość podjęła studia i na pierwszy zjazd w czerwcu 1956 r. przyjechała już z dyplomami, inni kontynuowali rozpoczętą naukę.

W zjeździe oprócz absolwentów wzięli udział zaproszeni profesorowie, przedstawiciele administracji powiatowej i jedynej „słusznej władzy politycznej”, bez której takie spotkania nie mogły się odbywać.

My – byli uczniowie Liceum nie czuliśmy się komfortowo, bo dzielił nas zbyt duży dystans do dawnych pedagogów i deprimowali obcy goście. Dopiero gdy zostaliśmy sami, języki się rozwiązały i zaczęły się zwierzenia osobiste.

Postanowiliśmy prowadzić kronikę i księgę zjazdów, aby pozostał po nas jakiś ślad, a po latach przekazać prowadzone zapisy do szkolnego archiwum lub Izby Pamięci. Pieczę nad wymienionymi księgami miał mieć wymieniony już kolega „Miecio” Sułkowski. My zaś – cała reszta mieliśmy dokonywać wpisów, uwag, odczuć, życzeń.

Przekazać „po latach” było dla nas sformułowaniem bardzo dalekim, bo w czasie pierwszego koleżeńkiego zjazdu mieliśmy 22 – 25 lat i był to zaledwie początek dorosłego, samodzielnego życia.

Nasze koleżeńskie spotkania rozpoczęte w 1956 r. odbywały się na początku regularnie co 5 lat (potem częściej) przeważnie pod koniec września lub w pierwszym tygodniu października. Były inne, bardziej osobiste i trwały 2 dni. Tylko część oficjalna odbywała się w Liceum w starym, a potem w nowym gmachu. Po powitaniu, „mowach”, podziękowaniach wyruszyliśmy w teren np. do Kamienicy, Szczawy, Szczyrzyca i tam dopiero czuliśmy się swobodnie. Trochę tańca, śpiewu i obowiązkowo relacja z minionego okresu, wspomnienia, osiągnięcia, wzloty i upadki, plany na przyszłość, związki małżeńskie, dzieci, praca, codzienność. W wyjazdowych eskapadach towarzyszył nam

zawsze p. Prof. J. Staniszewski, często p. dr Eugenia Naturska, których traktowaliśmy jak rodzinę. Profesor interesował się indywidualnie każdym z nas – naszym życiem zawodowym, rodzinnym i zapraszał do odwiedzin, gdy tylko będziemy w Limanowej. Żył życiem swoich dorosłych uczniów.

Po latach, w czasie ostatniego z Nim spotkania powiedział:

– Byliście mi najbliżsi, jak rodzina. Przechowuję wszystkie listy i kartki otrzymane od was. Już nigdy nie przywiązałem się do żadnego zespołu klasowego tak, jak do was.

Byłem wychowawcą różnych roczników, lubiłem i ceniłem tych młodych ale nigdy tak, jak was.

Sam tego nie rozumiem. Może zmieniający się czas to spowodował, a może... I nie dokończył.

W pamiętniku przekazanym w 1991 r. tak napisał o naszej klasie: (...) *Ważne jest to, co zostało na trwałe w ich duszach, co stanowi jeden z korzeni ich świadomości osobowej (...) co może jest przykryte jakby ochronną warstwą (...) sprawami codziennego życia (...).*

Jest to przywiązanie do szkoły, zażyłość koleżeńska, uznanie dla pracy profesorów, przywiązanie do kraju, ziemi ojczystej i jej historii (...).

Nauczyciel powinien wnikać w osobowość uczniów i nigdy nie powinien wydawać sądu ostatecznego o wychowaniu. Przecież tak różne i wartościowe jednostki z nich wyrastają (...).

Z upływem czasu czuliśmy coraz większą potrzebę częstszych kontaktów, wymiany zdań, czasem porady w ważnych sprawach od ludzi, którzy z dalsza mogli trzeźwo spojrzeć na nasze problemy i pomóc rozwiązać trudne dylematy. Dlatego w 1981 roku zapadła decyzja o tzw. półmetkach, czyli spotkaniach w trzecim roku po zjeździe. Zaś od 2001 r. zaczęliśmy się spotykać w każdym roku w drugi wtorek lipca. Liczyliśmy miesiące, tygodnie, potem dni dzielące nas od spotkania. Było wspaniale. Odsłanialiśmy przed sobą swoje małe sekrety, sprawy niby błahe, ale dla danej osoby ważne, podnoszące na duchu, pozwalające pełniej żyć.

W trakcie tych częstych spotkań wyszło na jaw, że my ludzie w sile wieku wykonujący na co dzień różne poważne zadania, mamy swoje ulubione hobby, zajęcia, przy których odpoczywamy, zapominamy o kłopotach, stajemy się wolni,

bo to co robimy, jest samą przyjemnością.

Początkiem prezentacji swoich „poza służbowych” zainteresowań był rok 1994. Po mszy świętej i powitaniach przeszliśmy do wybranego lokalu i zaczęły się ciekawe rozmowy. Wszyscy byli weseli i rozbawieni, tylko nasz Wychowawca był poważny i smutny.

Uboczne zajęcia kolegów były ciekawe i niecodzienne. W prawdziwe zdziwienie wprowadził nas kol. – ks. Szczepan Szlaga – doktor filozofii, profesor KUL i Seminarium Duchownego w Łodzi, autor wielu rozpraw naukowych, gdy powiedział, że dla odprężenia pisze wiersze, czasem refleksyjne, innym razem wesołe. Nie chciał ich prezentować, ale dał się przekonać i przeczytał kilka. Bardzo podobały się wszystkim i usiłowaliśmy go namówić, by je opublikował, bo historia polskiej literatury zna wielu poetów – duchownych. Nie chciał tego uczynić uważając, że to zaszkodziłoby jego reputacji.

Oto wybrane fragmenty niektórych z nich:

Bajka o szkole

Czasami śni mi się w nocy, (o chwilo marzeń szczęśliwa),/ że siedzę w Limanowej w klasie i ktoś mnie nagle wyrzywa./ Czasami śni mi się w nocy jakaś klasówka koszmarna. /Chcę ściągać – nie mam od kogo. /Budzę się – wokoło noc czarna. /Ciągłe siedzimy na ławie /W oczekiwaniu wyrwania./ I ciągle nam, ciągle grozi dwójka ze sprawowania./ Aż kiedyś przyjdzie godzina, godzina szczęście bez miary. /Pójdziemy po dzwonku ostatnim/ Do nieba, gdzieś na wagary. /Będziemy psocić i broić/ i gwiazdom robić kawały /i słońcu dawać kuksańce, /gdyby się z nami nie śmiały.

„Nasz” Szczepan oprócz zainteresowań naukowych miał pasję zbierania starych zegarów. Dbał o to, by wszystkie były „na chodzie” Gdy odwiedzał brata mówił: teraz muszę troszkę odpocząć i zabierał się do naprawy jakiegoś zegara. Zegarom też poświęcił wiersz. Oto jego fragment.

Stary zegar

*Zaśpiewam piosenkę o starym zegarze
I może się zdarzyć, że znacie ten grat.
Gdy wszystko jest nowe, gdy wszystko jest świeże
W zegarze tym leży zaklętych dni świat...
Nikt z nim się nie liczy,
Choć dzwoni i krzyczy
Bo jego oblicze zmyliło nie raz.
Są lepsze zegary, on dla nas za stary,
A urok staruszka z przeszłością już zgasił.
Dziesiąta czy pięta, coś skrzeczy, coś stuka
Starzyzna, ot grat.*

(ciąg dalszy na stronie 44)

O limanowskich kinach – tak bardziej przyczynkowo

Gdy napisałem już z półtorej strony poniższego tekstu, ze zgrozą stwierdziłem, że na temat limanowskiej kinematografii (termin ten oznacza także dystrybucję dzieł filmowych) praktycznie nie ma żadnych źródeł pisanych. Nawet w monografii „Limanowa. Dzieje miasta” t. II Kraków 2002 r. znalazłem o tym tylko jedno bez sensu wyrwane z kontekstu zdanie. Dlatego uprzedzam – piszę jedynie o tym, co pamiętam lub wydaje mi się, że pamiętam.

O ewentualne sprostowania czy uzupełnienia proszę, temat bez tego zdaje się być godnym poważniejszego opracowania.



Powyżej: Parterowy budynek „Sokoła”.

Obok: Budynek kina „Sojusz” w Limanowej. Fotografia: J. Kołodziejczyka z lat sześćdziesiątych XX w.

Wśród obiektów rekreacyjno – kulturalnego zaplecza przedwojennej limanowskiej rafinerii nie mogło zabraknąć kina. Mieściło się w istniejącym do dziś, choć przebudowanym parterowym obiekcie przy obecnej ul. Krakowskiej, tuż za skrzyżowaniem w Fabryczną. Było na poziomie ówczesnych standardów – wygodna sala, akompaniament filmów niemych na pianinie. Czy doczekało ery udźwiękowienia filmów w latach 30-tych? Nie wiem. Zwało się „Marzenie” i odwiedzało je tłumnie – nie tylko przez mieszkańców Sowlin, ale i Limanowej.

Po roku 1945 filmy w Limanowej zaczęto wyświetlać w budynku dawnego „Sokoła”. Mieszkając w Sowlinach, a konkretnie – jak się wtedy mówiło – Rafinerii, byłem w nim może ze dwa razy, potrzeby nie było, od początku lat pięćdziesiątych raz w tygodniu ekipa kina przenosiła się

do Sowlin. Seanse odbywały się również w budynku rafineryjnym, innym niż przed wojną – wówczas już „Świetlice CPN-u” z dużą salą widowiskową. Kierownikiem i kasjerem limanowskiego, państwowego już kina był pan Zimróż, a operatorem sprzętu „pan Mundek” (nikt niestety jego nazwiska nie pomógł mi przypomnieć) wysoki przystojniak, który na miejsce całe przedsiębiorstwo przewoził na rowerze.

Trzeba wyjaśnić, że ówczesne aparaty projekcyjne na taśmę 16-milimetrową AP 12 i AP14 miały spore jak na rower gabaryty i wagę trzydziestu paru kilo. Plus pozostałe wyposażenie.

A ówczesne filmy i ich dostępność dla nas ówczesnych?

Więc wbrew temu, co niektórzy do wierzenia podają, władze PRL bardzo zabiegały o moralność społeczną. Zresztą, jak każda władza autorytarna. Przecież jak żołnierz na służbie pisze świństwa na murze, to nie może dobrze pełnić warty – tłumaczył w areszcie dobry wojak Szwejk. Więc i robotnik nie zbuduje



socializmu, jak będzie rozmyślał o tym, co u Maryni itd... W rezultacie cenzurę interesowały nie tylko kwestie polityczne. Idąc tą drogą, ustalono obyczajowe kategorie wiekowe dla dzieł filmowych. Były one dozwolone: od lat 7, od 12, 14, 16 i wreszcie 18.

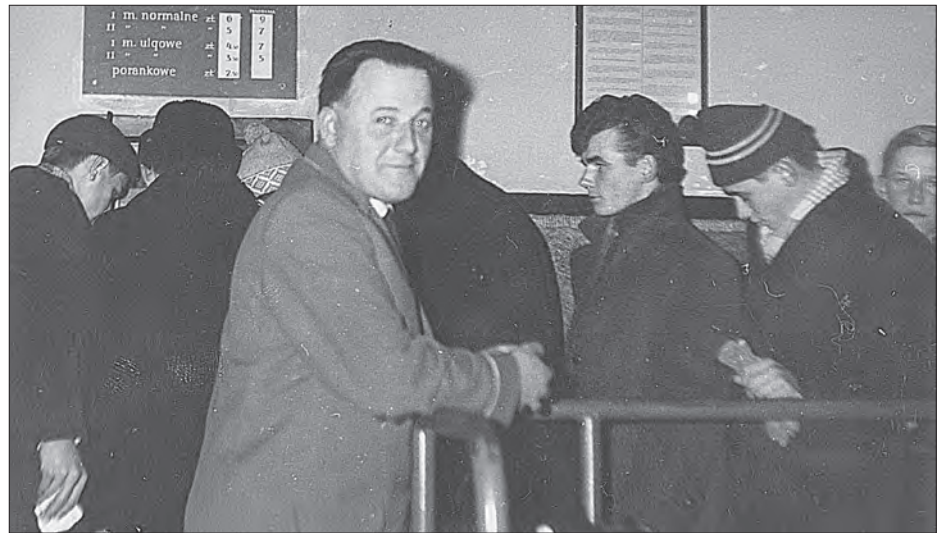
Gdy w nowym już kinie limanowskim szedł taki film dla dorosłych, bileterów często tak sam z siebie wspierał przy wejściu szczególny mąż cnoty – szef powiatowego ZMS (Związku Młodzieży Socjalistycznej). Owo nowe kino zostało ostatecznie uruchomione gdzieś koło 1960 r. Stare zamknięto, Pan Mundek przeszedł do pracy operatora w nowym, kierownikiem został też ktoś nowy.

Nie przestało natomiast istnieć „kino rafineryjne”, opuszczone miejsce zajęło inne, założone przy remizie strażackiej w Łososinie Górnej przez Ludwika Załubskiego. Ciekawa to postać – na co dzień pracownik limanowskiej poczty, prócz tego komendant łosińskiej OSP i budowniczy remizy, znajdował czas na zajmowanie się miejscowym zespołem teatralnym i sportem motocyklowym, osiągając na swej archaicznej SHL-ce niezłe wyniki w zawodach. Później, w latach 70-tych stawał też do innego typu szlachetnych igrzysk; zdarzyło się nie raz i nie dwa, że do pożaru w okolicy Ochotnicza Straż Pożarna z Łososiny przybywała wcześniej niż Zawodowa z Limanowej. Bo pan Ludwik miał w domu wyszkoloną sekcję gaśniczą złożoną z córek i synów, w razie alarmu mógł do akcji wyjeżdżać natychmiast.

Cofnijmy się w lata 50/60. Do wspomnianej SHL-ki 125 ccm pan Ludwik dołącza dwukołową przyczepkę na sprzęt i z pomocnikiem wyruszają z filmem raz w tygodniu do Sowlin. Inne dni też zajęte, bo kino działa i na miejscu w Łososinie, a na wyjazdach jeszcze w Słopicach i bodajże czy nie w Laskowej. Zawsze niezawodnie, zimą, gdy większy śnieg – saniami. A gdy raz powódź zerwała drewniany most na jedynej drodze jezdnej łączącej Łososinę ze światem, ekipa pana Ludwika przedostała się do Sowlin przez... most kolejowy i cotygodniowy seans się jak zawsze odbył.

Choć zdarzyło się raz, że jednak o mało co... Ale wcześniej parę słów wprowadzenia.

Po Październiku 1956 zmalała w kinach liczba propagandowych filmów sowieckich, za to wzrosła – do czasu konfliktu Broz Tity z Moskwą – liczba produkcji jugosłowiańskich prezentujących



Kolejka do kasy w holu kina „Sojusz” - lata sześćdziesiąte XX wieku. Na pierwszym planie Kazimierz Mąka. Fotografia nieznanego autora ze zbioru rodziny Mąków.

przeważnie walkę serbskiej partyzantki titowskiej z chorwackimi ustaszowcami. Nie trzeba dodawać, że te zagadnienia w filmach realizowanych wg tego samego schematu mało Polaków zajmowały. Wszyscy preferowali o niebo lepszą kinematografię z Zachodu, tym bardziej, że w okresie stalinowskim (1948 – 1956) była ona w Polsce niedostępna. Gdy więc Ludwik Załubski zapowiedział, że za tydzień wyświetli angielski „Nocny nalot” poruszenie w Sowlinach było olbrzymie. Tym bardziej, że ojciec mojego kolegi z sąsiedztwa, Rudolf Kempny, pełniący w Bazie CPN funkcję głównego mechanika, był w czasie wojny w polskim Dywizjonie Bombowym 300 lotnikiem – mechanikiem pokładowym i na czterosilnikowych Lancasterach brał udział w misjach bojowych. Przedstawiony w filmie angielski Dywizjon X – „Dambusterów” (Burzycieli Tam) stacjonował na sąsiednim lotnisku i polscy lotnicy mimo obowiązującej tajemnicy coś niecoś o nim wiedzieli.

Tak więc i my dowiedzieliśmy się wcześniej, że film będzie o autentycznej akcji zniszczenia zapór wodnych w Zagłębiu Ruhry przy pomocy skaczących po wodzie bomb.

Ale w dniu projekcji liczny jak nigdy tłum widzów, grubo ponad 200 osób, zastał na głucho zamknięte wierzaje świetlicy, a pan Ludwik przyniósł hiobową wieść, że seansu nie będzie, bo nie posprzątało po zabawie karnawałowej.

Cooo!!!! – jak szekspirowski las Birnam kinomani ławą przez śniegi ruszyli pod okna „pana od klucza”. Rzucano hasła gromko i nie na żarty. Klucze zastępczego przybytku X Muzy po niedługim obłożeniu zostały wydane, szczątki

po zabawie rozgarnięto na tyle, by w projekcji nie przeszkadzały... a film wart był spontanicznego buntu.

Godnych pamięci filmów było w przedziale lat 50/60 więcej, bo rola kina była w tamtych latach olbrzymia. Telewizja raczkowała, telewizorów w Limanowej było do policzenia na palcach, odbiór technicznie nędzny, a sam program... rzewna rzepa! Trafiał się jeden, wyjątkowo dwa filmy fabularne w tydzień. We wczesnych latach 60-tych i w owej świetlicy pojawił się telewizor, ale dla kina nie był żadną konkurencją.

Taki obrazek. W programie rarytet – oskarowy western „W samo południe”. Salka telewizyjna nabita jak PKS w jarmark. Za to na szklanym ekraniku kasza. Nie ma wyjścia – wyznaczony „ochotnik” udaje się na strych, z którego wystaje nad dach rura z wielopiętrową anteną, skomplikowaną jak antyczne kalessony z trokami. Będzie ją próbował optymalnie ustawić wg instrukcji wykrzykiwanych z dołu – W lewo! Stop! Spróbuj trochę w prawo!

Generalnie skutek taki, że z całego filmu jako tako dało się uchwycić „Do not forsake me, oh my darling”, przebój śpiewany na początku i końcu. A samą fabułę dopiero po obejrzeniu tego westernu w kinie.

A z programu owego objazdowego kina bez nazwy utkwily mi w pamięci dwa polskie tytuły, w duchu trochę nawiązujące do światowych trendów. Oba z roku 1958.

Pierwszy – „Rancho Texas” – był próbą polskiego westernu bieszczadzkiego z Boguszem Bilewskim i piosenką przebojem Jerzego Michotka:

► Daleko, gdzieś na krańcach Ameryki
jest Dziki Zachód, Zachód Dziki.
Po Dzikim Zachodzie preriemi, lasem
jedzie dziki cowboy, macha lassem!

Objaśnialiśmy frajerów – czym jeździ kowboj? Machalaszem.

A film (od 18-tu lat!) fascynował także tym, że bodaj pierwszy w Polsce ukazał obraz nagiej kobiety, odbity w wodzie, ale kompletny. To była sensacja w Sowlinach, o Słopnicach nie wspominając!

Drugim z wymienionych była „Baza ludzi umarłych”, polska „Cena strachu” w czarnych realiach stalinizmu wg powieści i scenariusza Marka Hłaski – „Głupcy wierzą w poranek”. Film ten po raz pierwszy pokazał skalę talentu przyszłych gigantów polskich ekranów, jak Leon Niemczyk, Emil Karewicz, Roman Kłosowski, Tadeusz Łomnicki, Zygmunt Kęstowicz, Aleksander Fogiel. I choć sam Hłasko wycofał się z produkcji po ingerencjach cenzury, film do dziś budzi uznanie.

Nowe, po „Sokole”, limanowskie kino o post-stalinowskiej, idiotycznej nazwie „Sojusz” uruchomiono wreszcie (dokładnie nikt nie pamięta!) na początku lat 60-tych. Właściwie był to kino-teatr ze sceną i jakimś jej zapleczem, ale przede wszystkim wyświetlano filmy – trzy różne w tygodniu, po dwa seanse dziennie, a w niedzielę trzy. Widownię – początkowo 18 rzędów po 18 foteli, powiększono później do rzędów 20-tu.

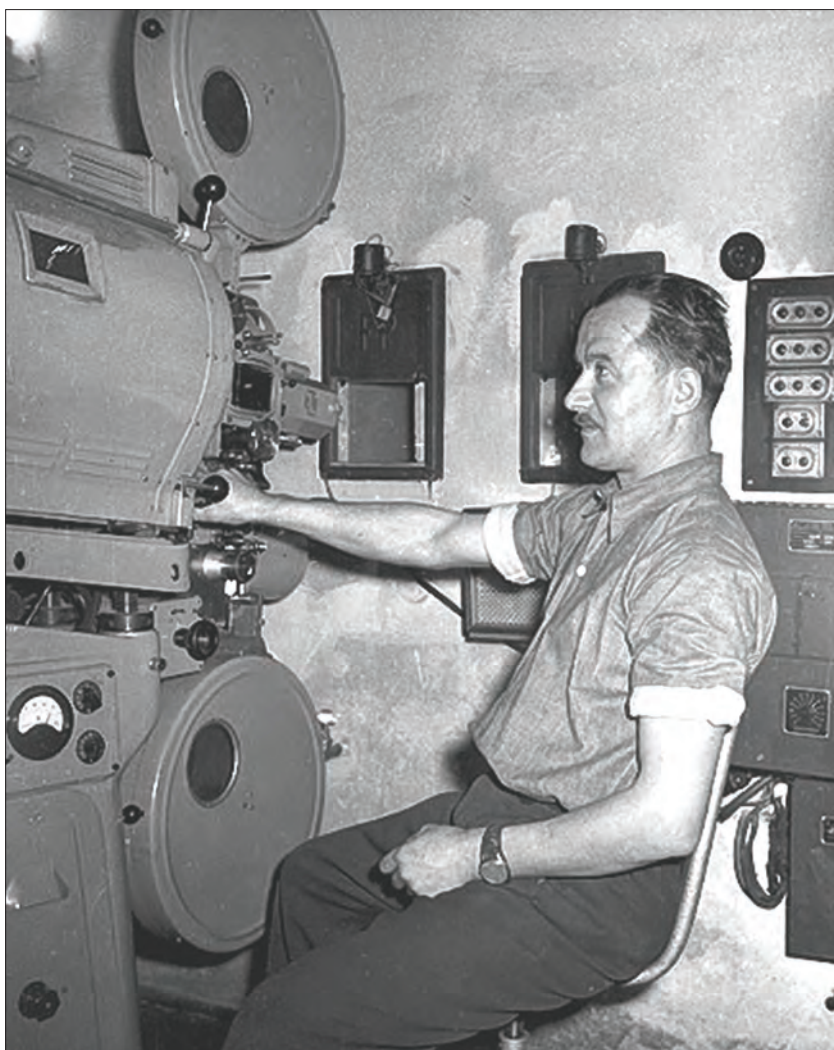
Filmy wyświetlano od początku na taśmie 35 mm, projektory – pracujące na przemian dwa AP-5, bo rolki filmu trzeba było zmieniać bez przerywania projekcji co 20 minut – pracowały na dających jednolite światło na duży ekran lampach łukowych ze spalającymi się stopniowo elektrodami. Wyposażone w chłodzenie wodne i rury do odprowadzania spalin wyglądały dostojnie, a ich obsługa była skomplikowana. Oczywiście, wszystko to mieściło się już w oddzielonej od widowni kabinie.

Repertuar. Dotarła przede wszystkim fala filmów amerykańskich, światowej sławy westernów, choć nie tylko, wiele w kolorze i to jakim! System Technicolor rzucał na kolana! Zdarzały się rzecz jasna i w naszej strefie ideologicznej filmy barwne, kolorystycznie sprane i landrynkowe. Na poziom światowy trzeba było jeszcze długo poczekać.

Kino nadal było w Limanowej rozrywką numer 1 i miejscem spotkań. Duża jak na niewielkie miasto sala nie świeciła pustkami. Gdy „szedł” atrakcyjny film, w niedzielę dobrze było ustawić się do kasy około trzynastej, bilety na pierwszy seans były raczej bez szans, ale na drugi o 17.00 już realne. Cenione były miejsca jak najdalej w tyle, tylko rząd ostatni był nie do osiągnięcia – niepiśmianym prawem dostępny tylko dla miejscowego high life'u. Niemniej wszyscy jakoś się mieścili, w przypadku wyjątkowej frekwencji ustawiano



Franciszek Mordarski - operator w kabinie projektowej kina „Sojusz” w Limanowej. Fotografia Kazimierza Leśniakiewicza z początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku.



Józef Mąka, jeden z operatorów kina „Sojusz” siedzi przy projektorze AP5, który potem trafi do kina „Szałas” w Łososinie Górnej. Fotografia: Stefana Biedy wykonana w latach sześćdziesiątych XX wieku.

pod ścianami całkiem wygodne „przystawki”. A gdy zdarzył się szczególnie atrakcyjny film, wyświetlano go przez szereg dni, dla przykładu – western „Rio Bravo” siedł w Limanowej przez pełne dwa tygodnie.

Nie tak masowo, ale wcale licznie przechodzono na filmy ambitniejsze – francuskiej „nowej fali” czy pomnikowych już dziś dzieł włoskich Felliniego czy Antonioniego, a także „polskiej szkoły filmowej” reprezentowanej przez A. Wajdę, A. Munka, K. Kutza, T. Konwickiego czy R. Polańskiego. Była w Limanowej grupa ludzi żywo interesująca się filmografią. Dla mnie osobiście autorytetem w tej kwestii był kol. Kazimierz Czynnek.

A z samym obiektem limanowskiego kina kojarzy się osoba wieloletniego pracownika, pana Kazimierza Mąki. Był bileterem, ale nie tylko – kilka razy w tygodniu eleganckim dwukołowym wózekiem przywoził ze stacji kasety filmowych taśm; kolej była jeszcze wtedy najpewniejszym przewoźnikiem przesyłek. Pan Kazio miał w sobie coś z komedii francuskiej, o jego charakterystycznym sposobie bycia opowiadano dowcipy, zresztą sympatyczne. Grał też niezłe na saksofonie w jednej limanowskiej kapeli, ale prawdziwym mistrzem ceremonii był w kinie.

Gdy dzwonki w całym budynku obwieściły, że już za moment początek seansu, pan Kazimierz dostojnie kroczył za ostatnimi spóźnialskimi i po stwierdzeniu, że na sali wszystko w porządku, otwierał ukryte w ścianie drzwiczki i z namaszczeniem naciskał umówiony sygnał do kabiny operatorskiej.

To też był widok. Dla żartów próbowałam nieraz naśladować ów wypracowany gest i minę pana Kazia. Absolutnie nie wychodziło.

Zdarzało się, że pan Kazimierz przy takiej okazji zabierał głos. W sprawie istotnej, bo publicznie byle czego mówić nie należy. Gdy raz „szedł w Limanowej” jakiś niezwykle kasowy thriller i obsługa kina zdecydowała się wpuścić mocno ponadnormatywną liczbę widzów (nawet przystawki nie wystarczyły) usłyszeliśmy przed zgaszeniem światła rezolucję – Kto ma, niech zajmie miejsce, a kto nie ma, niech spokojnie stanie pod ścianą.

Niby nic, a jednak. Ci bez miejsca siedzącego to nie jakieś dziady prozalne, lecz osoby usankcjonowane w obowiązującym porządku kina, którego uosobieniem w Limanowej był pan Kazimierz Mąka.



Gdy po wielu latach odszedł na emeryturę, spotkany Kazimierz Czynnek skostatował – Wiesz, to kino bez tej postaci, to już nie będzie to.

Zgodziłem się. Nie będzie.

A a propos „zgaszenie światła” jeszcze retrospekcja sowlińska.

Po wspomnianym nieużytym, „panem po godzinach od świetlicy CPN” został Edward Widomski, strażak zawodowy w bazie paliw, niezwykle zany i uczynny człowiek, szanowany i w pracy, i przez sąsiadów. Nie do pomyślenia było, by za jego czasów w świetlicy coś się zdarzyło nie tak jak należy. Oczywiście, przy okazji projekcji filmu otwierał i zamykał wszystkie pomieszczenia. Więc gdy po zakończeniu akcji na ekranie następowały wyszczególnienia realizatorów – reżyseria, kierownictwo produkcji, dźwięk etc. czekano na napis „Światło” i sala chórem recytowała: „zgasił Edward Widomski”. I zawsze to cieszyło wszystkich, łącznie z panem Edziem, jeśli akurat był obecny.

I dobrze, bo światło po sobie zgasić trzeba, nawet wtedy, „gdy pójde, nie wiem gdzie, na zawsze”.

Pisałem powyżej o pracownikach kina mających bezpośredni kontakt z widzami, ten najważniejszy – operator maszyny wyświetlającej, był poza kinami objazdowymi przy swej pracy niewidoczny. Tak jest w dzisiejszych kinach, tak było w limanowskim „Sojuszu”. Praca operatora wymagająca stałej uwagi, kiedyś bardzo niebezpieczna – w Polsce do roku 1960 bywała jeszcze w użyciu taśma filmowa palna na podłożu nitro, w skutkach zapłonu podobna do prochu strzelniczego, zastępowana od lat 50-tych acetonową „niepalną”, tak naprawdę... trudniej

zapalną. W limanowskim kinoteatrze stosowano już tylko taką, też nie całkiem bezpieczną – w każdym razie wszystkie okienka z kabiny w stronę ekranu (i sali widzów) miały automatycznie zamykane ogniotrwałe klapy.

Kabina była królestwem pana Mundka, który ogłowi ujawniał się też w inny jeszcze sposób. Po ostatnim seansie z silnych, skierowanych na zewnątrz głośników płynęły jeszcze kilkanaście minut w usypiającą Limanową melodie, przeboje ze znanych filmów, ze szczególnie preferowaną „Cucurucucu, Palomą”. Dobrze się przy niej rozmarzało w drodze do Sowlin, najprzyjemniej oczywiście w towarzystwie dziewczyny.

A po latach. WYDARZENIA filmowe związane z kinem limanowskim?

Na pewno „Robotnicy 80” jesienią 1980 r... puszcza to, nie puszcza...puścili!

Rok później „Człowiek z żelaza”. Spieszył się Wajda z realizacją, by zdążyć, czas pierwszej „Solidarności” wisiał w powietrzu, zdążyliśmy i w Limanowej obejrzeć przed 13 grudnia. Potem, już w stanie wojennym, w 1982 pojawiła się jeszcze u nas „Dolina Issy” Tadeusza Konwickiego wg powieści Czesława Miłosza jak baśń z nieistniejącego już świata; zdawało się, że na bardzo długo o wybitnym polskim kinie musimy zapomnieć. Myliłem się. Polska filmografia mimo złorzeczeń i opresji potrafi obrońić swą niezależność i poziom.

Tak było, tak jest i będzie.

Zbigniew Sułkowski

(uprawniony, choć mało zrealizowany operator wyświetlania filmów wąskotaśmowych)

Co nam zostało z tych lat

Śluchaliśmy w zamyśleniu. Więcej nie miał, obiecał przynieść na następne spotkanie. Niestety, następnego spotkania nie było. Odszedł do innego wymiaru, w którym nie ma już zegarów. Pewno wiele jeszcze wierszy pozostało w brulionach, do których nie przywiązywał wagi. Może posiada je rodzina? Warto byłoby je poznać.

Zgrabne wiersze i utwory prozą pisał też inny nasz kolega – Jerzy Cieśla – inżynier pracujący w kopalni soli w Wieliczce (po przejściu na emeryturę przewodnik oprowadzający wycieczki po kopalni). Jego powieści ukazały się drukiem.

Bajkopisarstwo i publicystyka było odskocznią od pracy pedagogicznej Zofii Wiśniewskiej (Wojtowicz). Czyni to do dziś.

Inni koledzy zajmowali się raczej „męskimi sprawami”. Np. Mieczysław Sora – inżynier pracujący głównie na wielkich budowach za granicą, na emeryturze zajął się hodowlą egzotycznych kwiatów i krzewów. Koło swego domu stworzył oazę ciszy i piękna, przedsionek raju, do którego ciągle zapraszał kolegów i znajomych. Potrafił godzinami bardzo interesująco opowiadać o tych, swoich, jak je nazywał – roślinkach. Może w tym innym świecie pełni teraz rolę pierwszego ogrodnika Stwórcy?

Kolega Jarosik – inżynier architekt, budowniczy m.in. Kombinatu Cementowo – Wapienniczego KUJAWY, zakładów MAKRUM w Paterku k/ Nakła czy ropociągu SURDUT na Syberii na emeryturze należy do wielu Stowarzyszeń i utrzymuje bliskie kontakty m.in. z Polonią Wileńską.

Słowem – wszyscy byli absolwenci Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana w Limanowej z roku 1951 mieli swoje dodatkowe zainteresowania nie związane z wybranym zawodem, dlatego odchodząc na emeryturę wiedzieli, czym będą się zajmować. Wybierali także inne pasje jak np. Apolinary Lach projektant i budowniczy dróg i mostów w Kanadzie, który przez wiele lat pracował społecznie jako ratownik górski, do tej pory, mimo wieku, szkoli adeptów tego wyjątkowego i niebezpiecznego posłannictwa.

Niestety, czas i los nas nie oszczędzał. Powoli grono zatwardziałych zwolenników

zjazdów zaczęło się zmniejszać. Zaczęli odchodzić do innego, należy wierzyć lepszemu światu. Inni schorowani nie mogli już przyjeżdżać na spotkania, zwłaszcza, gdy nie miał kto im towarzyszyć w drodze.

W styczniu 2014 r. odszedł w bezpowrotną drogę Mieczysław Sułkowski serdeczny kolega, przyjaciel, „dusza” naszej grupy.

Pozostała niewielka grupka, garstka weteranów rozsianych po rodzinnym kraju i dwie osoby za granicą (USA i Kanada). Dlatego zdecydowaliśmy się zakończyć nasze spotkania. Po raz ostatni byliśmy razem w 2014 r. To nie było łatwe rozstanie. Towarzyszyło nam przygnębienie i smutek. Nie mogliśmy nawet mówić. Czuliśmy się tak, jak w końcowej frazie pieśni śpiewanej przez Mieczysława Fogga: I Anioł Smutku co zszedł i tylko westchnął.

Pora teraz odpowiedzieć na tytułowe pytanie – Co nam zostało z tych lat?

Oprócz wielu fotografii w albumach pozostała świadomość, że nie zmarnowaliśmy życia. Z pracy wywiązywaliśmy się rzetelnie bez przeliczania kolejnych zadań na wysokość zarobków.

Połączyły nas wspólne dole i niedole. Mogliśmy liczyć na koleżeńskie wsparcie i pomoc, jeśli ktoś z nas jej potrzebował. Dotyczyło to różnych spraw bardzo istotnych np. zdrowia, które z biegiem czasu nie było już takie „szlachetne”. Klasowi „druhowie” szukali kontaktów, by wesprzeć, znaleźć odpowiedniego specjalistę. Pomagali w zdobyciu skutecznych specyfików, interesowali się wynikami leczenia, a chory już przez samą świadomość, że ktoś o nim myśli, miał lepszą motywację.

Wzajemne zainteresowanie, dobre intencje dodawały sił. Nie było wśród nas obłądy i zakłamania. Ci, którym nie było z nami „po drodze”, już na początku się wykruszyli i przestali przyjeżdżać.

To dziwne, ale wydawało się nam, że mimo upływu lat, ciągle się czegoś o sobie uczymy. Byliśmy jak rodzina, choć nie łączyły nas więzy krwi.

Staraliśmy się „ocalić od zapomnienia” swój ślad, aby był wyrazisty, czysty, wolny od posądzeń i kąśliwych uwag i to się nam udało. Nikt z naszej „paczki” nie zhańbił się jakimś niecnym czynem i świadomość tego zawsze nam towarzyszyła.

My, bytujący jeszcze na tym najpiękniejszym ze światów myślimy ciepło o wiernym zespole, bez zadawnionych uraz. Jest to zapewne efekt oddziaływania naszych rodziców, profesorów, środowiska i własnych wyborów. Te czynniki zawsze odgrywają w życiu człowieka ważną rolę.

Nikt nie rodzi się ideałem, ale można pewne ideały w sobie zaszczyć, mając dobre wzory. Nam się to właśnie zdarzyło. Okazuje się, że upływający czas, to nie tylko przemijanie. To wspomnianie dobrych momentów dodające sił w jesieni życia.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że życie to wielka przygoda, w której przeplatają się łzy, udręki i cierpienie obok dobra i piękna. To wszystko było także naszym udziałem i za wszystko jesteśmy wdzięczni losowi. Także za długie życie dane nam, grupie „ostańców”, którzy dobijają do swej ostatniej przystani.

Zbierane przez lata materiały obrazujące losy naszej szkolnej gromady przekazuje im. Władysława Orkana w Limanowej. My dawni ORKANOWCY byliśmy zawsze wierni naszemu PATRONOWI i naszej szkole średniej. Niechaj kiedyś pomogą w opracowaniu „Historii szkoły” i wzbogacą zbiory Izby Pamięci.

Niech to będzie także ukłon złożony naszemu Profesorowi i Wychowawcy Panu Józefowi Staniszewskiemu z okazji odbywającego się rajdu Jego imienia.

Przekazujemy:

– *Księgę pamiątkową zjazdów absolwentów Liceum Ogólnokształcącego (rocznik maturalny 1951).*

– *Materiały zatytułowane „Wspólne chwile z koleżeńskich zjazdów”.*

– *Wspomnienia o p. Prof. Józefie Staniszewskim opracowane przez Mieczysława Sułkowskiego.*

– *Album ze zdjęciami.*

– *Albumik członków pierwszego Kółka matematycznego z 1947 r.*

Fotografie: z arch. Zofii Wiśniewskiej

Legenda „Pasażerki”

Elżbieta Wojtas-Ciborska

Za sprawą Zofii Posmysz (rocznik 1923), pochodzącej z Krakowa pisarki i przez całe zawodowe życie warszawskiej dziennikarki Polskiego Radia, mamy do czynienia z wydarzeniami o zasięgu polskim i światowym. Ale również wydarzeniami bliskimi Ziemi Limanowskiej.

Doświadczylam tego przed kilku laty podczas „Ogrodów muzycznych Europy” w Zamku Królewskim w Warszawie, gdy redaktor **Barbara Pietkiewicz-Kraśko** w rozmowie z **Zofią Posmysz** zademonstrowała „Almanach Ziemi Limanowskiej”, chwając – jak się niefortunnie wyraziła – „pisemko” (!) za opisywane związki swej rozmówczynie z naszym regionem, z którym utrzymuje ona ściśle więzi, odwiedza i stale się kontaktuje. Szerszej publiczności radiowej **Zofia Posmysz** jest znana jako współautorka powieści radiowej „W Jezioranach”.

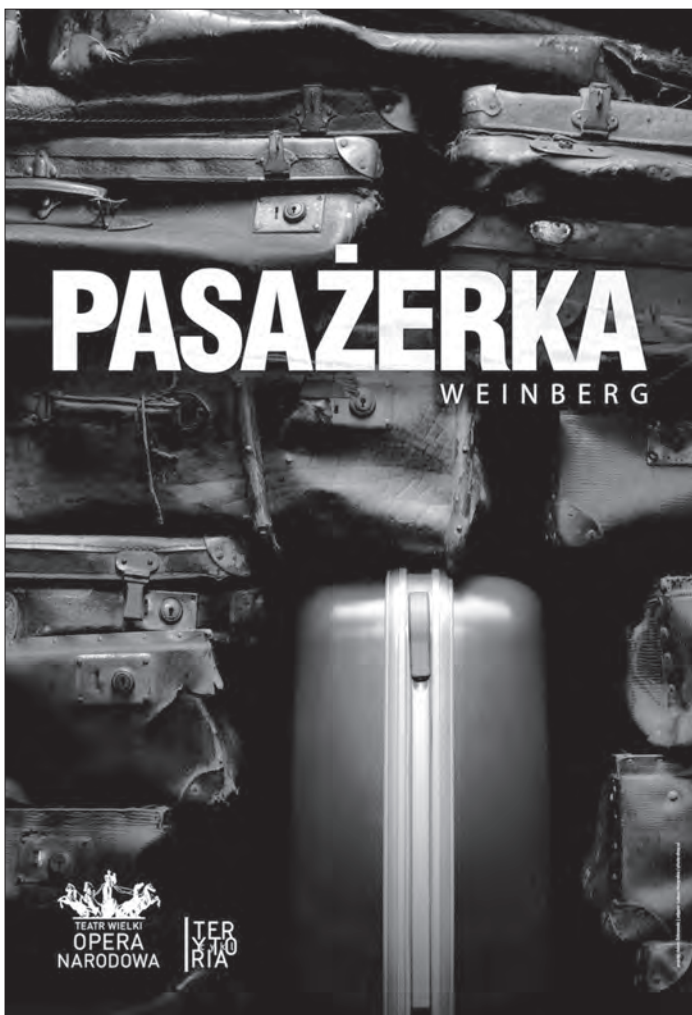
Ostatnio bawiła w **Gminnej Bibliotece Publicznej w Tymbarku**, gdzie powróciła do niezatartych wspomnień z **Auschwitz**. Tam bowiem nawiązały się nici przyjaźni i sympatii między przyszłą pisarką a oficerem obozowej konspiracji, kapitanem **Tadeuszem Paulone-Lisowskim**.

Tadeusz Paulone pochodził z Piekiełka. Jego włoskiego pochodzenia dziadowie walcząc w powstaniu styczniowym, włączyli się w polski nurt niepodległościowy, a potem osiedli w Galicji. W takim też duchu został wychowany **Tadeusz**. Jako uczestnik kampanii wrześniowej 1939 roku, był następnie



Zofia Posmysz.

Fot. wikipedia.pl



jednym z pierwszych organizatorów szlaku kurierskiego do tworzącej się Armii Polskiej na Zachodzie. Jednak ujęty w marcu 1940 roku na granicy słowackiej, już w pierwszym transporcie z 14 czerwca 1940 roku trafił do **Auschwitz** [nr obozowy 329], **gdzie był zarejestrowany pod nazwiskiem Lisowski**. Kontynuował tam udaną walkę podziemną, dowodząc „trzecim batalionem” więźniów z pięciu bloków i z obozowej kuchni. Dopiero po trzech latach zostało zdradzone prawdziwe nazwisko więźnia, od początku szukanego przez gestapo, wskutek czego 11 października 1943 roku **Tadeusz Paulone** został rozstrzelany. Zdążył jeszcze podczas egzekucji wykrzyknąć: *Niech żyje Wolna i Niep...*

Tak długa konspiracja w warunkach oświęcimskich to prawdziwy wyczyn, zważywszy, że lagerführerzy witali przybyszów złowrogą perspektywą: *tutaj księża mają prawo przeżyć miesiąc, inni dwa miesiące, a ci najsilniejsi pół roku*. Wiemy z historii, że nawet ten czas życia był dany niewielu, od czasu gdy ruszyły piece krematoryjne, będące niemal częścią „ciągu taśmowego” od rampy kolejowej, z której „podawano” piecom kolejne ofiary.

Jeszcze wiosną tegoż roku 1943 roku Lisowski z grupą innych więźniów odbył w obozie koncentracyjnym w Dachau kurs prowadzenia księgowości w kuchni. Po powrocie on z kolei udzielał instruktażu m. in. 19-letniej wówczas więźniarce **Zofii Posmysz z Auschwitz-Birkenau**, która trafiła do obozu za kolportaż ulotek, a wiele lat później uwieczniła trzy widzenia z **Paulone** w opowiadaniu „Chrystus oświęcimski” w kwartalniku literackim „Wyspa” [nr 1 (5) z 2008], pisząc o finale trzeciego z nich: *I to pytanie (...)* „Wierzysz w Boga?” *Pamiętam, że się zachnęłam: Jak można pytać? W którymś* ▶

► z kotłów świszczała para, biegły do niego kucharki, krzyczała kapo, słyszałam to jakby przez watę w uszach, ale jego słowa były aż nadto wyraźne. „Bo wielu uważa, że jeśli jest możliwe coś takiego jak Auschwitz...” nie dokończył. Lecz to było wystarczająco przejmujące. Przypomniały mi się słowa matki: „Jeżeli na świecie jest zło, to pochodzi od szatana, nie od Boga.”. Nie wypowiedziałam ich jednak. Mama była kobietą niewykształconą, a ten więzień numer 329, mimo błazeńskiej mycki na głowie, wydawał się kimś światlejszym. (...) Koło zagrożonego wybuchem kotła trwała krzątania, w pobliżu nas nie było nikogo. Na białej stronie buchalteryjnej książki leżał mały metalowy przedmiot. Medalik. „Weź na pamiątkę ode mnie. Niech cię chroni. Strzeż go i przenieś go do wolności”.



Tadeusz Paulone-Lisowski (pośrodku).

Fot. arch. gminy Tymbark

Ocalony medalik towarzyszy **Zofii Posmysz** do dnia dzisiejszego. Pisarka powraca do niego w swoich książkach, słuchowiskach i opowiadaniach. Podkreśla bowiem: w Auschwitz spotkałam ludzi, o których nie mam wątpliwości, że byli święci. Uważam, że to jedyny temat, na który warto by mi było jeszcze pisać. W ten sposób powstał ciąg utworów, zainspirowany pierwszym słuchowiskiem Zofii Posmysz pt. „Pasażerka z kabiny 45” z 1959 roku, poszerzonym w 1962 roku do ram powieści pt. „Pasażerka”, z licznymi reedycjami.

Na jej podstawie powstały o tym samym tytule: w 1963 roku film **Andrzeja Munka**, a 1968 opera **Mieczysława Weinberga**, którą 18 września br. otwarto sezon artystyczny 2016/2017 w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie. Teatr pokusił się też o najnowsze wznowienie „Pasażerki”. Kim był **Mieczysław Weinberg** (1919-1996)?

Ten wybitny kompozytor wyrósł z inspiracji trzech kultur: polskiej, żydowskiej i rosyjskiej. Urodzony w Warszawie, podjął tu studia fortepianowe w Konserwatorium u Mistrza, profesora **Józefa Turczyńskiego**. W zawierusze wojennej stracił w getcie warszawskim całą rodzinę i zmuszony został do opuszczenia ojczyzny. Po studiach z kompozycji w Mińsku, następnie po schronieniu się w Taszkencie, przyjął zaproszenie **Dymitra Szostakowicza**, by osiąść w Moskwie...

Gdy film **Andrzeja Munka** zdobył w Cannes Nagrodę Krytyki Filmowej [FIPRRESCI], na „Pasażerkę” zwrócił uwagę sam **Szostakowicz**. Powiedział **Weinbergowi**, że to temat dla niego. I wtedy zaczęło się zainteresowanie „Pasażerką” jako podstawą do napisania [przez ros. pisarza **Aleksandra Miedwiediewa**] libretta opery – wspomina autorka.

Aczkolwiek opera powstała już blisko pół wieku temu, to ówczesny klimat polityczny (wydarzenia marcowe o antysemickim wydźwięku!) stanął na przeszkodzie wystawieniu dzieła. Doszło jedynie do jego wykonania koncertowego w Moskwie. Prawdziwy sukces został odnotowany wraz z koprodukcją Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie i Festiwalu Muzycznego w austriackim Bregenz (Bregenzer Festspiele), gdzie w 2010 odbyła się jej prapremiera w reżyserii **David Pountneya**. Najpierw był Festiwal w Bregencji i Warszawie. Później Londyn, Houston, Nowy Jork, Chicago, Detroit i Floryda. I wszędzie, za każdym razem: przepołowiona światłem i dźwiękiem scena. Rozbawiona, zamożna Europa i piekło Holocaustu. Pamięć o nim trwa. Świat nie może zapomnieć. – czytamy w opisie spektaklu.

Z kolei **David Pountney** znany jest polskiej publiczności jako reżyser oper „Wilhelm Tell” i „Straszny dwór” w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie oraz drugiej opery Weinberga – „Portret” w Poznaniu. To dzięki niemu **Weinberg** powrócił do powszechnej świadomości w polskiej kulturze.

Jest to pierwsza w historii opera traktująca o niemieckich obozach zagłady, która święci triumfy na scenach operowych różnych kontynentów. Znajduje się w niej wątek **Tadeusza**, straconego na końcu opery, przywołujący na pamięć konwencję francuskiej grand opera. Jakże tu nie zauważyć światowych i limanowskich kontekstów?

Z Krakowa do Limanowej...

Wielka Wojna, jak w czasach międzywojennych określano I wojnę światową, była wielkim ciosem dla społeczeństwa europejskiego. Sama I wojna przyniosła państwom zniszczenie i śmierć milionów ich obywateli w tym Polaków walczących po wszystkich stronach wojsk zaborczych. Dla niektórych państw jej wynik był jednak korzystny.

Zwycięska Francja odzyskała utraconą w 1870 roku Alzację i Lotaryngię i wymogła demilitaryzację rejonu Nadrenii. Inne zwycięskie mocarstwo – Wielka Brytania, umocniła swoją pozycję jako potęga kolonialna przez przejęcie kolonii niemieckich i zniszczenie niemieckiej floty. Dwa wielkie terytorialnie przed wojną państwa, Austro – Węgry i Imperium Osmańskie rozpadły się. Na ich gruzach narodziły się państwa takie jak: Austria, Węgry, Czechosłowacja, Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców (od 1929 roku Jugosławia), Albania oraz oczywiście Polska.

Data ostatecznej kapitulacji II Rzeszy Niemieckiej 11 listopada 1918 r., oznaczała odzyskanie niepodległości po ponad wieku nieistnienia. Formalnie data ta oznaczała przekazanie władzy przez utworzoną pod niemieckimi auspicjami Radę Regencyjną w ręce **Józefa Piłsudskiego**. Już jednak wcześniej zapowiedziano odrodzenie się wolnej Polski. Mianowicie w styczniu 1918 r. prezydent USA, W. Wilson przedstawił

plan pokojowy, w którym jeden z punktów mówił o utworzeniu wolnego i suwerennego państwa polskiego, mającego zagwarantowany bezpieczny dostęp do morza.

W I wojnie uczestniczyło 28 państw. Zmobilizowały one w sumie 65 mln żołnierzy. Z tej liczby 10 mln poniosło śmierć na polach walk, 22 mln odniosło rany, 8 mln na trwałe zostało kalekami. Do tego dochodzą ogromne straty wśród ludności cywilnej nie biorącej bezpośredniego udziału w walkach, których nikt nigdy nie policzył. Wojna odbiła się na psychice ludzi w niej uczestniczących. Ciężkie warunki sanitarne i głód powodowały osłabienie organizmów i podatność na różne choroby, które w pierwszych latach po wojnie dotknęły wiele państw europejskich.

Dobrym obrazem ukazującym skalę zniszczeń dokonanych w naszym rejonie w okresie pierwszych miesięcy I wojny światowej, podczas działań wojennych w tak zwanej operacji łapanowsko – limanowskiej jest cykl artykułów pod jednym tytułem: „Z Krakowa do Limanowej”, które ukazały się w kolejnych numerach krakowskiego dziennika „Nowa Reforma” nr: 1,4, 8, 15 ze stycznia 1915 roku.

Autor podpisujący się inicjałami K. Woj. w sposób interesujący przedstawia obraz zniszczeń na tych terenach, na których prowadzone były walki związane z tą operacją militarną, która powstrzymała wojska rosyjskie nacierające na twierdzę Kraków.

Wiarygodność opisów jest wielce prawdopodobna, bowiem dokonane zostały zaraz po zakończeniu działań wojennych. Warto więc je zgłębić.

Pewnego rodzaju ulga opanowała nas mimowolnie, kiedy jadąc małym trzęsącym wózkiem, znaleźliśmy się za Podgórzem w drodze do Wieliczki. Droga pełna błota i nierówności, ciągnąca się wśród alei obszarpanych, wyniosłych drzew, tchnęła cmentarnym zniszczeniem. Wojenną pustkę powiększały opuszczone domy, tu i ówdzie zdemolowane lub będące w stadium demolowania – a wokół po polach, pełnych żółtej gliny i czarniawych zagonów, widać było wojskowe prace przygotowawcze.

Przejeżdżając przez ukrytą wśród drzew Wieliczkę, zobaczyliśmy jak na dłoni ślady wojny. Popękane dachówki, dziury w domostwach, wybite szyby, uszkodzony klasztor OO. Reformatorów, wskazują,



Na wzgórzu Kaim w Starym Biezanowie w pobliżu drogi prowadzącej do Wieliczki stoi obelisk, który upamiętnia odparcie podczas I wojny światowej wojsk rosyjskich, chcących zdobyć twierdzę Kraków. Pomnik odsłonięty został w pierwszą rocznicę tych wydarzeń 6 grudnia 1915 roku. Fot. Internet



że tędy kroczyła wojna ze wszystkimi okropnościami, nie oszczędzając niko go i niczego. Na rynku, okolonym wieńcem niskich domów i kamienic, mały postój. Nieliczne postacie ukazują się na ulicach, jakieś trwożliwe i niepewne. Poważny mieszczanin, mizernie ubrany, zobaczywszy obcych, zbliżył się i z ciekawością zaczął nas indagować.

- *Cóż, ojczce, słyhać? Duże szkody w mieście?* – zapytałem.

- *A jest tam trochę; strzelali, bo strzelali – niech Pan Bóg broni! Całe szczęście, że masa granatów z powodu wilgoci nie wybuchła, bo inaczej toby dziś z Wieliczki nawet śladu nie było.* Powiedział to poważnie, zażył potężny niuch tabaki i powiedział: „*Niech będzie pochwalony*” – odszedł w stronę kościoła.

Z Wieliczki pojechaliśmy w stronę Roźnowej. Droga pełna dziur. I tak wielkich wybojów, że koła zapadają się po osie i grożą udaremnieniem dalszej podróży, a co najmniej poważnym niebezpieczeństwem. Okolicą pełną smętku suniemy noga za nogą, o ile na to pozwalały tłumy robotników, naprawiających skwapliwie arterię komunikacyjną.

Mijamy Janówkę, przejeżdżamy z tępyim uczuciem smutku Dziekanowice i po dłuższym trzęsieniu ukazują się Dobczyce.

Droga z Roźnowej do Dobzyc, podobnie jak bez mała i reszta drogi – wieje prawdziwą cmentarną pustką i głuszą. Podczas gdy do Wieliczki, a jeszcze do Roźnowej spotyka się zmęczone wozy trenu, grupy żołnierzy, robotników, a nawet zwykłych przechodniów, to od Roźnowej do Dobzyc i dalej – zwłaszcza w przejeździe przez wsie, rozrzucone wokół gościńca, nie widziało się literalnie żywego ducha, żadnej furmanki tak cywilnej jak wojskowej, kudłaty kundys wiejski nie przeprowadzał przez wieś naszego wózka charakterystycznym szczekaniem. Wsie jakby wymarły; od zburzonych niezupełnie chat i stodół wiało zniszczeniem i opuszczeniem, które darło serce na strzępy. W powietrzu wprost dzwoniąca cisza, przerywana od czasu do czasu zjadliwym krakaniem wron. I mimo woli w tej dzwoniącej pustce przypomniał się tytuł noweli Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki i wrony”. Na Racie przed Dobzycami dwa mosty: jeden dla pieszych, zbudowany przez Rosjan, drugi dla furmanek, austriacki, z napisem „Leichte Nothbrücke”. Oba prowi- zoryczne; trzęsą się pod kołami wózka. ►

Zbliżamy się do Dobczyc. Droga nieco pod górę; na lewo jar głęboki, na dnie którego wśród starych wiklin i kęp, zrudziałych ostrzeżyn wije się wstęga Raby.

Dobczyce, przytulone do zbocza góry, smutny przedstawiają widok. Gromadki węgierskich pospolitaków naprawiają zniszczoną drogę i ci żołnierze stanowią jedyną okrasę miejsciny, do niedawna cieszącej się ruchem handlowym. Przechodnie nieliczni, sklepy pozamykane, w oknach znać opuszczenie i bezład. Główna restauracja Miarczyńskiego zamknięta. Można się do niej dostać, lecz tyłem i to po to, by niczego nie dostać, bo wszystko zjedzone. Kiedy zażądałem szklanki kawy, rozśmiano mi się w oczy.

Przy stoliku, pokrytym brudną czerwoną serwetką, w kącie izby, paru „cywilów” piło coś, czego absolutnie określić nie można było. Wdaliśmy się z nimi w pogawędkę i w ciągu rozmowy dowiedzieliśmy się paru ciekawych szczegółów o grasowaniu wojsk, o rekwizycjach etc. Obecnie nastał względny spokój, a dowodem tego jest powrót poczty, która jeszcze nie funkcjonuje, a to dlatego, ponieważ poczmistrz prócz ścian budynku nie ma niczego – nawet kłódki, którą by akta i pieniądze zamknąć pozwalała w bezpiecznym miejscu.

Opuszczając Dobczyce i wlekąc się gościńcem, idącym pod górę w stronę Wiśniowej, rzucamy wzrok na prawo. Oryginalny widok nam się przedstawił. Nad Młynówką, małym potokiem,

wpływającym do Raby, kilku żołnierzy oprowało konia, zdzierając zeń skórę. Robili to ze znawstwem i swojego rodzaju mistrzostwem. Obrazek, budzący niesmak na resztę dnia, a przypominający swą surowością, że znajdujemy się w kraju, objętym pożogą wojny. Słońce zaczęło się skłaniać ku zachodowi, kiedyśmy opuściliśmy Dobczyce i rozoraną drogą udali się w stronę Wiśniowej.

Żegnały nas wioski, rozsiane w dolinie rzeki Raby i skryte w oparach mgły sinej i przesłonięte bezlistnymi topolami, rozpacznie opuszczonymi wierzbami i ciemnymi plamami wiklin – Fałkowice, Stadniki, Winiary, Krzyworzeka – ku południowi potężna góra Sypka, porośnięta miejscami poszarpanym borem, a środek krajobrazu przerywa rzeka Raba, zwykle rwąca i wściekła rozpętanym żywiołem wodnego, a obecnie tocząca brudne swe fale z jakąś straszną, nie mającą nazwy determinacją.

I kiedy rzucało się okiem na tę prawdziwie piękną rzetelnym sentymentem polskim owianą dolinę Raby, tak do niedawna szczęśliwą, bogatą i przesyconą spokojem sielskim, obramowaną misterną koronką lasów, to mimo woli biedne serce polskie szarpało się w strzępy, patrzyło ku beznadziejnemu niebu i w szlochu bezradnym pytało się: „Czemu o Boże! Tak strasznym dopustem dotknąłeś tę biedną krainę? Czemu? Czy trzeba Ci było jeszcze hekatombi za ostatnie lata piętędziesiątka lat pierwszej połowy

XIX wieku – za rok 1846, który w tej okolicy szalał ze szczególną wściekłością?”

Droga powoli wznosiła się ku górze. Jechaliśmy wolno, bo konie nie bardzo były tęgie, a gęste czekoladowe błoto było przeszkodą poważną. Pogorbione, faliste wzgórza z lewej strony – zionęły śmiertelnym opuszczeniem. Tak na gościńcu jako też na łąkach nad Rabą widnieje cały szereg wozów uszkodzonych i samotnie pozostawionych. Czekają cierpliwie, by je wzięto do koniecznej naprawy. Na ziemi masa słomy, rozrzuconej i wtłoczonej w błoto, kupy nawozu i liczne puszkki z konserw. Takich postojów widzimy po drodze wiele.

Droga, wijąca się wśród płaskowzgórza, załamuje się łagodnie; skręcamy na gościńcu prowadzący do Dobrej. Mijamy poszczególne wioski o ubożuchnych chatach, pokrytych wystrzępioną słomą, tulące się do drzew przydrożnych, takie ciche i milczące, jakby przeszła przez nie zaraza-martwica. A to tylko groza wojny wionęła po tych dymnych strzechach i zwarzyła wszelkie ludzkie życie. Pustka cmentarna – pusta, uderzająca wprost obuchem w głowę.

Tę pustosz wyczuwamy wprost w tętnieniu krwi, kiedy przejeżdżaliśmy wioskę Raciechowice. Rozsiała się wcale szeroko po obu stronach krajowego gościńca, pełnego dziur i wybojów. Pochylone sadyby miały wygląd opuszczenia – jakby bez ratunku. W środku wioski, kryty szczerniałymi gontami kościółek, o czerwonej



Na drodze do Myślenic. W głębi po prawej, żołnierze rosyjscy.



Droga, którą poruszał się autor reportażu.

kopule, milczał jak zakłęty. Wokół cisza – nigdzie żywego ducha – mało istnienia zwierzęcego wprost nie widać.

Mijamy Komorniki z dworkiem prawdziwie szlacheckim, skrytym między wychudłe kasztany, pędzimy na złamanie karku w dół, znajdujemy się na gościńcu, łączącym Bochnię z Dobrą – pozostawiamy na boku Zegartowice, w dole na prawo Gruszów, na lewo Dąbie i wjeżdżamy jakby w gardziel smoczą: to droga nasza, tocząca się nad potokiem zaczyna się wic wśród potężnych zwałów górskich, pokrytych ciemnym jodłowym borem.

Ciekawy wygląd mają wioski, przez które przejeżdżaliśmy. Charakterystycznym rysem każdej chałupy jest brak płotu lub parkanu. Wszędzie płoty i parkany zostały nie tyle zniszczone, co właściwie zabrane przez żołnierzy na opał. Dworki, spotykane po drodze np. w Dziekanowicach, Raciechowicach, Komornikach, Dąbiu etc., są wprost odarte z parkanów i straszą przechodnia taką – że się tak wyrazimy – bezpośrednią nagością ścian odrapanych. Okna zazwyczaj powybijane, dziury w dachach, a wokół domostw tumany pierza z kur i innego drobiu. Ślady pierza wskazują na postoje i uczyły żołnierskie, nieco różne od uczt w Soplicowie. I tam się pierze z kur sypało, lecz w jakże odmiennych warunkach!

Nasze polskie, prawdziwie kochane stodoły polskie, pełne uroku, mają zazwyczaj cztery słupy i strzechy. Ściany zazwyczaj rozebrane, a łat drzewnych

użyto na opał. A może na trumny dla biednych, nienazwanych bohaterów naszych, którzy kośćmi swoimi ubielili całą Galicję! Te do niedawna, pełne chłopskiego dobytku spichrze polskiej pracy straszą wyjętymi żebrami i okaleczanymi budowlami, które z niemy wyrzutem, niedającym się wprost określić, rzucają przechodniowi groźne „memento”.

Nie oszczędzono przede wszystkim żadnej karczmy. Nasze polskie karczmy prawie w tych stronach wszystkie zniknęły. To co pozostało – przedstawia przykry widok. Żadnych okien, żadnych drzwi – wiatr hula po opuszczonych izbinach, pełnych słomy i nawozu końskiego i skarży się żałośnie. W ten sposób praktyczni Rosjanie rozwiązują kwestię propinacyjną.

Słońce już miało się ku zachodowi, kiedy mając po prawej ręce obrosły jodłami Ciecień, wjeżdżaliśmy pomiędzy ponure domki Szczyrzyca.

Szczyrzyc – mała wioska, oparta o stok góry Ciecień, pokrytej gęstym borem, znana ze słynnego opactwa OO. Cystersów, posiadająca prócz ładnego klasztoru wraz z kościołem, browar, urząd pocztowy i szkołkę, utrzymywaną kosztem zakonu. Schludna wioska, ciesząca się w miesiącach letnich liczną frekwencją wycieczkowiczów, pełna ożywczego żywiczego powietrza, dziś przedstawia obraz ponury, tak jak wszystkie wioski, spotykane po drodze. Pustka, cisza, zniszczenie. Tu i ówdzie

tylko przemknie cień człowieka, tu i ówdzie odezwie się głos i milknie zaraz, czując się jakby obcym w tej głuszy i znowu pusto i cicho jak w mogilniku.

Gospodarka Rosjan zaznaczyła się w Szczyrzycu bardzo wydatnie. Przede wszystkim bogatym Cystersom zabrano z siedmiu folwarków wielką ilość bydła, świń, drobiu i bez mała wszystkie konie. Klasztor ocalał dzięki temu, że w nim stał kwaterą jeden z generałów rosyjskich. Rekwirovano także siano i słomę w większej ilości. Ks. Antoni, dzierżący w swym ręku gospodarkę klasztoru i sam zawołany gospodarz, jest wprost zrozpaczony, że wcale wydatne zapasy jego znikły wprost jak kamfora.

Szczególnie żałować należy bogatej pasieki, którą zupełnie zniszczono. Była ona wzorem dla okolicy; była umieszczona w ogrodzie za budynkiem szkolnym i na niej to wiejskie dzieci z okolicznych wiosek uczyły się racjonalnego pszczelnictwa.

Kiedy mowa o pasiekach, należy wspomnieć, że wszystkie ule w okolicy zostały zupełnie zniszczone. Żołnierze zazwyczaj wyjadali miód, a potem pniaki rzucali do ognia lub na wodę. Nie obeszło się też nieraz bez komicznych epizodów, ale w każdym razie z boleścią trzeba wyznać, że nie przepuszczono nawet polskim pszczołom.

Wioski rozrzucone wokół Szczyrzyca przeważnie srogo są dotknięte zębem wojny. Ogromna wieś Góra św. Jana leżąca między falistymi pagórkami, jedna z najbogatszych wsi w okolicy, prawie do cna spalona. Ocalał tylko kościół, niedawno zbudowany, a ocalał prawie cudem. Krasne Lasocice również dotknięte pożogą wojenną, Jodłownik zrabowany jak i Mstów, jednym słowem nie ma w okolicy osady, która by nie poczuła na sobie skutków walk, jakie przez czas dłuższy toczyły się w tych stronach.

Zaraz za Szczyrzycem widzimy po polach szeregi krzyżów, kryjących skromne mogiły żołnierskie, a dalej szarawe ugory przerywane liczne rowy strzeleckie. Jest to znak, że zbliżamy się w okolice, w której walki szalały z wielką siłą.

Przejeżdżamy przez zniszczone Raciborzany i mając po prawej ręce górę Ciecień, po lewej dalekie pasma zagonów oraz wioski skryte w wianki drzew, wjeżdżamy w kotlinę, która jakby była stworzona do stoczenia licznych potyczek. Zbliżamy się do Skrzydlonej, zostawiamy za błyszczącym stawem wśród



Przemarsz wojsk węgierskich w Krakowie.

▶ odwiecznych lip kryte zabudowania dworskie i stajemy w wiosce, która może najwięcej w tej okolicy była wystawiona na zażarte walki.

Z dała od południa zasłania horyzont potężna niby olbrzymia kopa, tonąca w siwych oparach wieczora Śnieżnica.

Wojsko rosyjskie pojawiło się w tych stronach w pierwszym tygodniu adwentu. Walki - jakie zaczęły się od tej chwili toczyć pomiędzy wojskiem naszym a nieprzyjacielskim - miały charakter niezwykle krwawy i niezwykle zawzięty. Były to walki jakby przednich straży, które stały nieraz od siebie zaledwie na kilka metrów. Walczono o każdy pagórek, nieraz o każde osiedle. Niejednokrotnie zdarzało się, że w jednym domu byli Rosjanie, a po drugiej stronie nasi żołnierze szukali ukrytego wroga.

Wojska austriackie były ustawione koło Wiśniowej popod Śnieżnicę ku Dobrej i stąd prowadziły ofensywę w stronę Góry św. Jana. Rosjanie zaś zajęli stanowiska popod Cietniem, w Szczyrzycu, Raciborzanach i Wilkowisku. Walki były zacięte i jak wiadomo, skończyły się wyparciem Rosjan z całej okolicy. O zaciętości walk świadczą rowy strzeleckie, biegnące w różnych kierunkach. Żółtawo - ciemne linie wijące się po polach między krzakami, po pagórkach - ziemia wszędzie zorana, skopana: Rowy opatrzone usypiskami z ziemi wyrzuconej na zewnątrz - dawały dobrą ochronę przed kulami. Wokół rozrzucona słoma - tak samo w głębi rowów, wystrzelone patrony, pudełka z konserw etc. Zdziwiał wprost ogromna liczba tych rowów strzeleckich, dając świadectwo szybkości armii nieprzyjacielskiej w okopaniu się.

Biedna ludność, nie ostrzeżona zawczasu, pozostała na miejscu i była świadkiem toczących się zapasów. Nie potrzebuję dodawać, że znajdowała się w wielkim niebezpieczeństwie. Na szczęście ofiary w ludziach nie są liczne; natomiast szkody w dobytku ogromne.

W Skrzydlnej bardzo znaczna część domów została uszkodzona pociskami, stodoły spalone przeważnie z całym płonami, szyby wytłuczone. Stodołę we dworze spalono, przy domku Kwiecińskiego granat wyrwał olbrzymi, kilkumetrowy dół. Ślady zniszczenia bardzo liczne i bardzo widoczne. Dzwon drewnianego kościoła zabrzmiął na Anioł Pański gdy opuszczaliśmy Skrzydlną. Niedola ludu skrzydlańskiego i okolic podkarpackich, dotkniętych twardą stopą wojny, jest



Okolice Krakowa. Fotografia z okresu I wojny światowej.

istotnie tragiczną. Wszystkie okropności zwały się na biedną ludność, której nie oszczędzono niczego. Przechody naszych wojsk, a potem najście Rosjan, toczące się walki w tych stronach, zniszczyły ludność materialnie tak, że mieszkańcy tych okolic popadli w beznadziejną nędzę.

Wojska rekwirowały bezwzględnie wszystko. Podkarpackiemu chłopu zabrano paszę, słomę, zboże, w szczególności owies lub snopy owsa, brano nawet konicz nasienny przed wymłóceniem. Rekwirowano bydło, świnię i drób. Ocalało tylko to, co zdołano gdzieś umiejętnie ukryć czy zakopać, chociaż to było trudne ze względu na nagły najazd.

Rosjanie ze szczególnym zamiłowaniem poszukiwali pieniędzy. W domach przerzucano każdy kątek, przeglądano skrzynie, zaglądano do pieców i popielników, przetrząsano odzież i słomę w łózkach. Zmuszeni twardą koniecznością brali buty, kożuchy, czapki, chustki kobiece, poduszki i pierzyny; te ostatnie zwykle dla rannych. Polowanie za butami było tak intensywne, że nieraz chłopom ściągano buty na drodze. Wiedząc, że chłop polski lubi nosić pieniądze za cholewą, szukano ich tam bardzo często. Gospodarzy zmuszano do dawania koni i wozów na podwozy.

Ze szczególną nienawiścią odnosili się Rosjanie do karczmarzy. Rekwirowano im wszystko, przetrząsano do koszu. Karczmarza skrzydlańskiego rozebrali do naga w poszukiwaniu za gotówką. Biada takiemu, u którego cośkolwiek ukrytego znaleziono.

Nastrój żołnierzy rosyjskich bardzo był wojowniczy. Narzekali prawie wszyscy na długą wojnę i poniewierkę, ale oświadczyli, że „*Kraków zdobyć muszę, bo car im rozkazał*”. Oświadczyli nadto,

że dłużej jak do Nowego Roku bić się nie będą. Poddawali się chętnie.

Osobna wzmianka należy się proboszczowi w Skrzydlnej, ks. Gawrońskiemu. Że wieś ocalała, że większych nadużyć nie było, jest w znacznej mierze zasługą tego poważnego kapłana, który swojej owczarni nie opuścił, lecz pozostał na miejscu i w najgorętszych chwilach spieszył ze słowem pociechy tam, gdzie zachodziła potrzeba. Osoba jego wzbudzała u Rosjan respekt. Kiedy po zajęciu Skrzydlnej Moskale wpadli na plebanię i zobaczyli proboszcza, odmawiającego różaniec ze swymi domownikami, zatrzymali się przy drzwiach, czapki zdjęli i zaczekali na koniec modlitwy. Dzielny proboszcz nie zważał na kule, jeżeli trzeba było zaopatrzyć umierającego.

Wszędzie zniszczenie, pustka, a przede wszystkim głód. Ludzie z głodu jedzą padłe konie, a nierzadko psy. Po wsiach faktycznie nie widzi się żadnego kundysa, nawet koty gdzieś znikły, jakby i one odczuły klęskę wojny. Ludności podkarpackiej grozi wprost śmierć głodowa. Zmierzch wieczorny nas ogarnął, błoto chlupało pod kopytami końskimi, kiedyśmy się zbliżali do Dobrej, tulącej się do potężnej Śnieżnicy. Powitała nas cisza złowroźna i nieliczne światełka.

Niestety, pomimo dokładnej kwerendy kolejnych wydań krakowskiego dziennika „Nowa Reforma” z 1915r. nie został odnaleziony ostatni odcinek podróży z Dobrej do Limanowej.

Być może nigdy nie został napisany.

Materiał opracował: Stanisław Ociepka
Fotografie: arch. albumu
„Okruchy pamięci”, Internet

Partyzanckie Święta

Przemysław Bukowiec

W czasie II wojny światowej polityka prowadzona przez władze niemieckie miała za zadanie oprócz stopniowej, fizycznej eksterminacji ludności polskiej, wykorzenie wszelkich elementów szeroko pojętej kultury narodowej. Tradycja, język, barwy narodowe – wszystko było stopniowo wymazywane z pamięci Polaków. Nieodłącznym elementem polskiego patriotyzmu było uroczyste obchodzenie świąt państwowych i kościelnych, połączonych z manifestowaniem przywiązania do tradycji. Zdobienie przydrożnych kapliczek, pomników, skwerów, budynków administracji publicznej barwami narodowymi, śpiewanie pieśni patriotycznych – najbliższe elementy tradycji stały się zakazane. Represje związane z nieprzebraniem nowego ustawodawstwa groziły karami aresztu oraz wywozu do obozów zagłady. Miejscami, które mogły podtrzymywać polską kulturę i tradycję były lokale, gdzie kwitło tajne nauczanie. Na obszarze Beskidu Wyspowego w kilkudziesięciu domach zamienionych na tymczasowe, improwizowane szkoły prowadzono edukację najmłodszych pokoleń. Kolejnym miejscem, gdzie umacniano patriotyzm, były mury kościołów, które przez okres całej wojny stanowiły schronienie dla ludności cywilnej bez względu na wyznanie, stanowiąc moralne wsparcie dla walki z okupantem. Trzecim miejscem, gdzie utrwalano pamięć o tożsamości i tradycji, był las, góry – miejsce działalności leśnego wojska partyzantów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich.

Biało-czerwone barwy i Święto Niepodległości

Jeżeli chodzi o udokumentowane ślady utrwalania miejsc pamięci w czasie niemieckiej okupacji, należy sięgnąć do kilku interesujących źródeł. Na Limanowszczyźnie w drugiej połowie 1943 r. dowództwo Obwodu AK Limanowa szczególnie zwróciło uwagę na organizację akcji propagandowo-patriotycznych. W czasie akcji „Wrzód”, oprócz wysyłania informacji z ostrzeżeniami dla Niemców i kolaborantów, angażowano się również w działania związane z propagowaniem symboli narodowych. Jedną z takich akcji było wieszanie szytych w konspiracyjnych melinach biało-czerwonych flag, zakładanie ich na wieżach triangulacyjnych. [...] *Wcześniej w dniu Święta Zmarłych złożono wieńce i kwiaty na wszystkich miejscach straceń i na grobach pomordowanych. Natomiast 11 listopada, w dniu święta państwowego na wieżach triangulacyjnych wywieszono biało-czerwone flagi*¹ [...]. Akcje zazwyczaj przeprowadzano cyklicznie w sierpniu, listopadzie i grudniu w celu manifestowania sprzeciwu wobec zniewolenia przez okupanta.

Wartości patriotyczne starano się utrzymywać na różne sposoby. Jednym z nich była organizacja wspomnianych wcześniej obchodów Święta Niepodległości – 11 listopada 1944r. Pomimo że dowódca 1. psp AK, mjr „Borowy” zakazał urządzania uroczystości ze względu na zachowanie bezpieczeństwa w rejonie stacjonowania żołnierzy, tym razem jednak wszystko odbyło się poza rozkazem. [...] 12 XI 1944. *Pomimo wydane-go przez „Borowego” zakazu urządzania uroczystości w dniu*



Wigilia partyzancka I baonu 1. psp AK w tartaku na Bukówce w Szczawie.

*11 listopada, I baon uroczystość urządził i nawet dowództwo pułku zaprosił. Poszedł na uroczystość „Profesor” [rtm. Michał Wojciechowski – przyp. P.B]. Nabożeństwo i defilada były filmowane*² [...]. Jesienne popołudnie 1944 r., na rozwidlaniu ścieżek i dróg między Wyřebiskami Zaleskimi a Bukowym Wierchem k. Mogielicy, grupa mężczyzn uwijała się przy pracy. Część z nich była umundurowana, a na czapkach, furazerkach i bluzach majaczyły biało-czerwone proporczyki i polskie orły w koronie. Byli to żołnierze jednej z kompanii I batalionu 1. psp AK, którzy przygotowywali ołtarz do mszy z okazji Święta Niepodległości. Prace utrudniała jesienno-zimowa aura, która w tym roku nie rozpieszczała „leśnych lokatorów”. Ołtarz został zbity z materiału ofiarowanego przez kilku mieszkańców pobliskich osiedli. Stopnie ołtarza, zamiast dywanu żołnierze przykryli niemieckimi pałatkami typu *Zeltbahn*. Prace przy ołtarzu trwały do późnych godzin. Następnego dnia – sobota, rano jak zwykle w czas pobudka, apel, modlitwa poranna, mycie, kawa przy kotle, zbiórka. Uroczystości organizowało dowództwo I batalionu z por. Janem Wojciechem Lipczewskim „Andrzejem”. [...] *Wtedy już leżał śnieg, por. „Andrzej” lubił się pokazać przed innymi, a szczególnie przed dowództwem. Na tę okazję zawsze miał elegancko wyczyszczony mundur* [...]. *W naszej kompanii wszyscy między sobą żartowali z tego*³ [...]. Tak po blisko 69 latach wspominał jeden z uczestników tamtych wydarzeń. Na zachowanych fotografiach widać dosyć pokaźnie ilości śniegu, który wówczas zalegał między Mogielicą a Zalesiem. Z okazji niezwykłego święta I batalion zorganizował symboliczną manifestację w postaci mszy św. oraz defilady.

Nieodłącznym elementem życia partyzanckiego były msze święte odprawiane w każdą niedzielę. W czasie koncentracji na Mogielicy latem 1944 r., msze św. były odprawiane na jednej z polan pod osiedlem Groń w Słopnicach. Nabożeństwa celebrowane zazwyczaj przez kapelana Obwodu AK Limanowa, ks. Huberta Kostrzańskiego „Mirta”, na co dzień zakonnika klasztoru Cystersów w Szczyrzycu. Na zachowanych fotografiach jest widoczny prowizoryczny ołtarz oraz obraz Matki Boskiej Kalwaryjskiej przytwierdzony do drzewa. Wokół byli zgromadzeni w czworoboku w kilku szeregach żołnierze placówek AK ze Słopnic-Kamienicy oraz Tymbarku.

Razem z żołnierzami brała udział cywilna ludność zamieszkująca pobliskie osiedla, były to zazwyczaj kobiety z dziećmi. Na jednej z fotografii wyraźnie widać późniejszych dowódców I i II batalionu 1. psp AK, por. Jana Wojciecha Lipczewskiego „Andrzeja” oraz kpt. Juliana Krzewickiego „Filipa”.

Leśne wesela

Innym rodzajem świąt były uroczystości ślubne żołnierzy oraz ich wybranek przeprowadzane w konspiracji. Podobnych wydarzeń było wiele i nie sposób je wszystkie opisać. W tym miejscu warto przywołać kilka przykładów. Jesienią 1944 r., w obozie partyzanckim I batalionu 1. psp AK na Mogielicy, miał miejsce ślub podchorążego Macieja Wiewiórowskiego „Wacława”. Na zachowanych fotografiach widać leśny ołtarz polowy. Ślubu udzielał kapelan I baonu ks. Jan Stelmach „Urban”. Nie zabrakło również najważniejszych jak choćby majora „Borowego”⁴. Często małżeństwa były zawierane wyłącznie w obecności kapelana i świadków, ze względu na kwestie bezpieczeństwa. Na Kostrzy przy jednej z kapliczek ślub zawierał lwowiak, ppor. Jan Simon „Szarotka”, adiutant Komendanta Obwodu AK Limanowa⁵. O innym partyzanckim ślubie świadczy relacja ppłk. Juliana Dutki „Jaworza”[...] *w warunkach okupacji i pełnej konspiracji nie mogło się to odbyć normalnie. Jeszcze przed planowanym wybuchem powstania[akcja „Burza” – przyp. P.B.] ustaliliśmy termin ślubu w Święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny to jest 15 sierpnia.[...] ustaliliśmy z księdzem proboszczem, że ślub nasz odbędzie się przy zamkniętych drzwiach kościoła, między sumą a niesporami, gdy wszyscy mieszkańcy Przyszowej będą przebywali na obiedzie*⁶ [...].

Niezwykła choinka

W każdym kraju obchodzi się święta, które w sposób szczególny sprawiają, że są zapamiętane na dłuższy czas. W przypadku tradycji polskich do takich należą Święta Bożego Narodzenia. W 1944 r. żołnierze Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich mieli nadzieję, że będą to ich ostatnie święta w zniewolonym kraju. Jak wyglądały przygotowania do tego świątecznego wieczoru i nocy? Był to wyjątkowy dzień, w którym od rana czuć było unoszącą się atmosferę nadchodzących świąt. Uroczystości obchodzono w kilku miejscach, m.in. w Szczawie, na Kostrzy, na Cuprówce w Paśmie Łososińskim – wszędzie tam gromadzili się żołnierze lokalnych placówek AK i BCh. Myśli wszystkich łączyły się z marzeniem o rychłym odzyskaniu niepodległości. Szczególnego wymiaru nabrała wieczerza wigilijna organizowana przez żołnierzy 1. psp AK. Jak wspominał rotmistrz Włodzimierz Budarkiewicz „Podkowa”: [...] *24 XII 1944. Od rana przygotowania do Wigilii. U Krasnego w kuchni nieustanny ruch. Chłopcy przynieśli z lasu dwie choinki i ustawili jedną na kwaterze dowództwa, a jedną u siebie. Naszą choinkę udekorowali nabojami, papierosami, sucharami i granatem ręcznym. Otrzymaliśmy dość dużo żywności z Tymbarku, są nawet ciastka. Jest to zasługa przede wszystkim inż. Józefa Marka „Lancy” i „Dębówki”[mgr Ludwik Mróz-przyp. P.B.]*⁷ [...].

Niespodziewani goście

Wigilia 1. psp AK, miała miejsce w hali tartaku na Bukówkach w Szczawie. Zgromadzili się na niej żołnierze – I batalionu



Ślub partyzancki na Mogielicy - jesień 1944 rok. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego

wraz ze swoim dowódcą, por. „Andrzejem”. Osobliwymi gośćmi była grupa dwunastu cichociemnych, polskich skoczków, zrzuconych z końcem listopada i grudnia na Polankach k. Szczawy. Oprócz nich największe zainteresowanie wzbudzali lotnicy amerykańscy, brytyjscy, a nawet jeden obywatel Republiki Południowej Afryki. Wszyscy przebywali w rejonie Szczawy i Kostrzy, oczekując korzystnych rozstrzygnięć na froncie i możliwości powrotu do kraju. Choć młodym lotnikom nie zawsze odpowiadało ani ich położenie, ani skromne wyżywienie jakie dostawali, to byli pod wrażeniem organizacji i zapału goszczących ich żołnierzy. Wigilia obfitowała w różne niespodzianki [...] *24 XII 1944. Do stołu zasiadła cała nasza rodzina żołnierska z wyjątkiem ubezpieczenia. Nie było z nami „Borowego”. Przybył i kapelan. Łamiemy się oplatkiem i życzymy sobie spotkania następnej Wigilii w gronie rodziny i w wolnej Polsce*⁸ [...]. Na czas świąt w rejon Mogielicy przybyły instruktorki z organizacji Pomoc Żołnierzowi – nazywane popularnie „pezetkami”. Zajęły się organizacją życia kulturalnego w postaci przygotowania skromnych upominków dla żołnierzy oraz przygotowaniem programu artystycznego.

Ostatnią uroczystością związaną z 1. psp AK był pogrzeb żołnierza I baonu, Zdzisława Kaszyckiego „Wiesława”, który 13 stycznia 1945 r. poległ w walce z Niemcami w czasie tzw. bitwy szczawskiej. Został pochowany przy Krzyżu Partyzanckim na Wyrębiskach. Po wojnie jego szczątki ekshumowano.

Historia i pamięć

Wędrując na Mogielicę zielonym szlakiem PTTK z Zalesia, na Wyrębiskach napotykamy przy drodze krzyż partyzancki. Ustawiono go po zakończeniu działań wojennych w miejscu, gdzie stał ołtarz partyzanckich mszy. Od 1984 r. w tym miejscu były odprawiane msze święte ku czci poległych żołnierzy i partyzantów, zawsze 1 sierpnia. Głównie gościli na nich harcerze z Łagiewnik wraz z opiekunami w celu upamiętnienia poległych w czasie wojny: Stanisława Wąchały „Łaziczka” oraz Jana Wąchały „Łazika”. Obecnie od ponad dekady w dawnym miejscu ołtarza stoi nowy krzyż. Terenem wokół krzyża od początku opiekuje się pani Rozalia Mazur z Zalesia oraz jej rodzina. Dzięki jej staraniom to miejsce przez lata, zarówno w czasie świąt patriotycznych jak i na co dzień, pozostaje świadectwem pamięci o naszych rodakach. Krzyż partyzancki to miejsce, przy którym gromadzą się turyści zmierzający w czasie wypraw na Mogielicę. Pełni funkcję dydaktyczną dla młodzieży biorącej udział w pieszych rajdach turystycznych, w czasie których mogą poznawać historię regionu.

W ramach inicjatywy związanej z 70. rocznicą powstania 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK, staraniem Nadleśnictwa Limanowa przy wsparciu Gminy Słopnice oraz Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1. psp AK w 2014r. rozpoczęto prace odnowienia miejsca pamięci, ustawiono obelisk oraz tablicę informacyjną upamiętniającą żołnierzy 1. psp AK, walczących o niepodległość kraju.

Fotografie: ze zbiorów Muzeum AK w Krakowie



Msza św. w Słopnicach pod Groniem z udziałem żołnierzy i okolicznych mieszkańców.

1. J. Bieniek, *W kręgu Beskidu i Gorców. Szkic do dziejów wojskowego ruchu oporu na Ziemi Limanowskiej*. [w:] Rocznik sądecki, Nowy Sącz 1982, t. XVII, s. 223.
2. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele Okręgu AK Kraków. Fragment uroczystości został utrwalony na filmie. Włodzimierz Budarkiewicz „Podkowa”, *Strzelcy podhalańscy w walce* [w:] Studia Historyczne, Warszawa 1968r. XI., Z.2, s. 238.
3. Relacja Juliana Tomeckiego „Brzozy” w zbiorach autora.
4. Na podstawie fotografii ze zbiorów Muzeum Armii Krajowej im. Gen. Emila Fieldorfa „Nila” w Krakowie.
5. Relacja Janusza Simona, syna ppor. Jana Simona „Szarotki”, ze zbiorów autora, lato 2014r.
6. Stała działalność w konspiracji oraz poszukiwanie przez władze niemieckie, uniemożliwiło przeprowadzenia uroczystości w czasie mszy św. Więcej w: Julian Jaworz-Dutka, *Konspiracyjny ślub* [w:] Almanach Ziemi Limanowskiej, lato 2004, nr 17, s.36-37.
7. Włodzimierz Budarkiewicz „Podkowa”, *Strzelcy...*, op. cit. s. 243.
8. *Ibidem*, s. 243.

PIECZĄTKI

Plastus

papier • biuro • szkota

ul. M.B. Bolesnej 22
tel. 18 3373 177

ul. J. Marka
tel. 18 3371 616

CoolPack
WYPRZEDAŻ KOLEKCYI

- KSERO, OPRAWA WYDRUKI KOLOR

- ZAMÓWIENIA NA TELEFON
www.katalogbiurowy.pl

- TUSZE i TONERY
zamienniki
w atrakcyjnych cenach

- DŁUGOPISY Z NADRUKIEM
już od 1 szt.

GRAWEROWANIE LASEREM
Oryginalne zaproszenia, winiетки wycinane laserem grawer na butelkach, kieliszkach, albumach, brelokach...

www.plastus.alte.pl
www.facebook.com/plastus.limanowa

Zakład Pogrzebowy CATALEIA

WIOLETA KULMA

☛ wypłacamy zasiłek ZUS/KRUS w 15min czynne 24h/7 dni
☛ własna chłodnia, kaplica tel. 669-994-088
☛ trumny, wieńce, klepsydry, itp.

Limanowa, ul. Piłsudskiego - przystanek szpital (poziom -I)
Nawojowa 119 - budynek GS
Nowy Sącz, ul. Nawojowska 45

W tych tradycyjnych chwilach możemy na was liczyć

www.kulma-pogrzeby.pl

CAŁODOBOWE PROSEKTORIUM

przy Szpitalu Powiatowym w Limanowej
im. Miłosierdzia Bożego

☎ 665 988 131
665 988 123

ul. Piłsudskiego 61
34-600 Limanowa

Weź Wygodny **KREDYT** **NA SZCZĘŚCIE**



Tylko teraz oprocentowanie kredytu
4,99%¹ lub 5,49%²

1. Stałe oprocentowanie w całym okresie trwania umowy kredytowej
2. Niska prowizja za udzielenie kredytu
3. Ubezpieczenie w dwóch wariantach
4. Okres kredytowania - do 60 miesięcy
5. Maksymalna kwota kredytu - nawet do 100 000 zł
6. Na dowolny cel – sam decydujesz na co przeznaczysz pieniądze
7. Raty dopasowane do indywidualnych możliwości
8. Elastyczny termin spłaty rat
9. Brak opłat za wcześniejszą spłatę kredytu

PROMOCJA OGRANICZONA CZASOWO

1. Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka z rozszerzonym pakietem ubezpieczeń dla okresu 36 miesięcy:

• RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 10.08.2016r. z rozszerzonym pakietem ubezpieczeń, wynosi 14,81% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 299,67 zł i jedna rata 300,51 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 4,99% w stosunku rocznym, koszty związane z ubezpieczeniem - płatnym jednorazowo „z góry”. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 12 008,96 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 2 008,96 zł, na który składają się: odsetki – 788,96 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 500 zł, składka ubezpieczeniowa – 720 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

2. Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka z podstawowym pakietem ubezpieczeń dla okresu 36 miesięcy:

• RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 10.08.2016r. z podstawowym pakietem ubezpieczeń, wynosi 13,01% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 301,92 zł i jedna rata 302,85 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 5,49% w stosunku rocznym, koszty związane z ubezpieczeniem - płatnym jednorazowo „z góry”. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 11 820,05 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 1 820,05 zł, na który składają się: odsetki – 870,05 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 500 zł, składka ubezpieczeniowa – 450 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

POMOC DROGOWA

- LAWETA
- HOLOWANIE
- NAPRAWA
- HDS DO 7t



600 045 045